Deotyma

Wybor poezji

I





Łuszczewska, Jadwiga

DEOTYMA.

WYBÓR POEZJI.

XIĘGA PIERWSZA.



WARSZAWA.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KONSTANTEGO TREPTEGO.
1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Іюня 1897 г.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

WSTĘP.

PIEŚNIOM NA ODLOCIE.

Obejrzałam się na życie.
Pieśni moje, czy słyszycie?
Nawołuję was!
Już od plonu brzmieją spichrze,
Róg myśliwski gra na wichrze,
Do odlotu czas!

Porzucajcie gniazdo wasze,
Gaj pożółkły, wież poddasze,
I okienka chat.
Nawiązujcie trójkąt stada,
Co jak harfa się układa,
I odlećcie w świat!

* *
*

A nie lećcie nadaremnie.
Dary nieście mu odemnie,
Pod skrzydłami xiąg.
Czego łaknie smutna rzesza,
Co pociesza i co wskrzesza,
Rozsypujcie w krąg.

A nie miejcie wzroku sowy,
Ani szpony krogulcowéj,
Ani kruczych szat.
Dość już gońców czarnéj Troski!
Wy roznoście uśmiech boski,
Na spłakany świat.

* *
*

Czy kto z dobrą czy złą duszą,
Wszystkim, wszystkim którzy muszą,
Przez ten padół iść,
Przy gołębich piór szeleście,
Z pozdrowieniem POKÓJ nieście,
Jak oliwny liść.

Tym, co czoła mają chmurne,
Co na piersiach cisną urnę
Przepłakanych strat,
Rzućcie błękit po-nad głowy,
Niech w POGODZIE lazurowéj,
Zmieni im się świat.

* *
*

Mistrzom wiedzy i rachuby,
Którzy w życiu, samoluby!
Widzą chytrą grę —
Na zeschnięte serc ich wióry,
ZAPAŁ nieście tchem wichury,
Jak czerwoną skrę.

Tym, co struci są goryczą,
W niebo patrzą buntowniczo,
Nienawistnie w świat —
Nieszczęśliwi! Tym na łono,
Rzućcie MIŁOŚĆ rozpłonioną,
Jak różowy kwiat.

* *
*

Wołającym za ochłodą,
Synom słońca, którzy wiodą
Z huraganem bój —
Pokazujcie tę NADZIEJĘ,
Co w pustyni palmy sieje,
Pod palmami, zdrój.

A na końcu, jak w początku,
Wszystkim, wszystkim, bez wyjątku,
Do skończenia lat —
Wracające z nieba goście,
Na promieniu gwiazd, przynoście,
WIARĘ w inny świat.

1887.

POEZJE.

KRUCJATY.

Od Jerozolimskiéj bramy,
W pośród łąk skropionych rosą,
Pełne łez niewiasty, niosą
Wonne zioła i balsamy.
Przy odblasku zorzy białéj,
Widząc grób świecący z dali,
Niespokojnie zapytały:
»Któż nam kamień ten odwali?«
Lecz o dziwy! Cóż się stało?
Grób otwarty — znikło ciało —
Tylko w świetle, dwaj anieli,
Z błyskiem w oku, z szatą w bieli,
Śród Syońskich cór stanęli.
Kamień jeszcze drga przy ziemi,
A niebianie co go strzegą,
Rzekną: »Czemu żyjącego,
»Szukać między umarłemi?«

* *
*

Tam od wschodu, czy widzicie
Rubinowy blask o świcie?

Czy widzicie śród ogrodów,
Co mirtami wonnie kwitną,
Ten minaret, co z nad grodów
Strzela w niebios toń błękitną?

Lecz cóż to za blask zamglony,
Od zachodniéj świta strony,
I jak z drugich zórz ogniska,
Purpurowém pasmem łyska?
Tarcze w złocie gorejące,
Mieczów iskrzą się tysiące,
Błyszczą jeźdźce i rumaki,
A czerwone na nich znaki.
Oko miga z po-za stali,
Pstra chorągiew szumi w dłoni,
Pod pancerzem krew się pali,
Na pancerzu krzyż się płoni.

Po świetlanéj brnąc powodzi,
Z czém pędzicie gońcy młodzi?
Chcecież zatknąć te sztandary,
Opłonione słońcem wiary,
Gdzie półxiężyc krwią zachodzi?
»Z czém i dokąd my pędzimy?
»Po Grób! Do Jerozolimy!«

Ach, któż czołem nie uderzy
Przed zapałem tych rycerzy,

Co puszczali się szalenie
Na nieznane mórz bezdenie,
Na pustynie bez gościńców,
I katownie barbarzyńców,
Aby zdobyć cel duchowy?
Wielkie serca! Harde głowy!
Ale jeśli w téj oddali,
Chcieli znaleźć Wodza chwały,
Czemuż w grobie Go szukali,
Kiedy wódz to zmartwychwstały?

* * *

Czy widzicie przyszłe lata,
A w nich przyszłych Krzyżowników?
Kiedyś wstanie znów Krucjatą,
Lecz bez mieczów ani szyków.
Każdy nowym apostołem,
Z białém od spokoju czołem,
Extatyczném zlaniem ducha,
Mistrza z Nazaretu słucha.
Rwący przykład ich wymową —
Bronią, cudotwórcze słowo —
A okuciem z żywéj stali,
W które więźniów swych spętali,
Bratnia miłość dla wszechświata,
Co go w łańcuch serc oplata.
Myślą, co ich wiarę święci,
Pałających celem chęci,

Nie grób jeden ni kraina,
Ale każdy fałsz i zbrodnia,
Które cierń Bożego Syna,
Krwawo odnawiają co dnia.

Świat dziś cały w swym cgromie,
Grób to z bielonemi ściany,
Gdzie spoczywa niewidomie,
Chrystus ciągle krzyżowany.
Ale przyszły huf rycerzy,
Jakby anioł grzmiąc przybieży,
I odwali głaz na grobie,
Aby w trzeciéj wieków dobie,
Jako trzecie prawdy zorze,
Zmartwychwstało słowo boże.

1852.

PIELGRZYM.

Z okiem utkwionêm w dal szafirową,
Z szatą zniszczałą, z dalekiéj strony,
Idzie gościńcem pielgrzym strudzony.
Czasem przystanie, potrząśnie głową;
Tu się wypłacze — tam się wyżali,
Potém znów idzie — daléj a daléj.

Przy drodze chata. Skrzypek i śpiewki.
Zwinna gosposia zastawia stoły;
Makami kraśne, śmieją się dziewki;
Stuka podkówką chłopiec wesoły;
Starszyzna pije, dawny czas chwali.
— Pielgrzym zapłakał, i poszedł daléj.

Na drodze tuman. W blasku i gwarze,
Jadą z trąbami zwycięzkie szyki,
Strojne chorągwie, promienne twarze.
Tryumf! Na tryumf biją okrzyki.
Słońce i chwała świécą ze stali.
— Pielgrzym zapłakał, i poszedł daléj.

U skrętu drogi, dwór malowany.
W otwartém oknie stół i foljały;
Od xiąg spiętrzonych ciemnieją ściany.
Przy xiędze, siedzi mąż osiwiały;
Chciwość badacza z ócz mu się pali.
— Pielgrzym zapłakał, i poszedł daléj.

Po drodze wzdycha: »Jakaż, o Boże!
»Smutna ta droga! Z rycerskiéj broni
»Ciecze krew bliźnich... W chacie czy dworze,
»Radość zaledwie na chwilkę dzwoni...
»Mędrcowi, zawsze, jak morskiéj fali,
»Głos wyższy mówi: — Nie pójdziesz daléj!«

Wzdychając, kroczy w dal błękitnawą.
Za mgłą błysnęła wieżyczka złota.
Mur koło drogi, otwarte wrota,
Krzyże tam sterczą nad bujną trawą,
I jacyś ludzie z trumną zjechali.
— Pielgrzym zapłakał, i nie szedł daléj.

On nie nad trumną, ale nad temi
Płakał, co idąc za trumną, płaczą.
A tu zatrzymał stopę tułaczą,
Bo przez szczelinę skopanéj ziemi,
Dojrzał... (ach, czemuż tamci płakali?)
Rajski krajobraz wielkiego »Daléj!«

Co tam za światła! Co za wesele!
Więc kres położył znojnéj podróży,

I przy cmentarzu i przy kościele,
Osiadł z uśmiechem, zdala od burzy.
Sami go zmarli już odwiedzali.
— Aż i on z niemi poszedł... tam... daléj...

1852.



TANIEC.

Wśród eterycznych przestrzeni bez końca,
Wirowym biegiem puszczone planety,
W ochocze koła otaczają słońca.
W pęd posuwiste szaleją komety.
Mgławica krążąc z lekkością dziewczęcą,
Na srebrny rąbek nawija przepaście.
Parzyste gwiazdy zalotnie się kręcą.
Pod modrém nieba sklepieniem, dwanaście
Złotych tancerek i złotych tancerzy,*
Trzyma wzorzystą przepaskę zodjaku;
Słońce kolejno do każdego bieży,
Wstęgi dotyka u innego znaku,
Aż rok okrągły jej pasmem obmierzy.
Grzmi niebo. Zgoda! Harmonja wspaniała!
Odkąd popchnięcie twórcza dłoń im dała,
W taniec wiekowy idą jasne ciała.

* *
*

Nietylko gwiazdy, miłosnym rozpędem,
W koło wiecznego pląsają ołtarza.

Nieraz i człowiek tanecznym obrzędem,
Nabożne czucia wyraża.

Król-harfiarz wyszedł na drogę Syjonu;
Krasne u szaty uniósłszy obrzeża,
Tańcem radosnym, wśród palm i pokłonu,
Prowadzi orszak Przymierza.

W gaju z kokosów ciemnieje pagoda.
U drzwi, tak wiotka, że zdaje się duchem,
W obłocznych szatach, Bajadera młoda,
Ljanowym faluje ruchem.

Minaret świeci w słonecznéj pozłocie.
Derwisz, rozwarłszy ramiona, szalenie
Zątacza wiry, jakby chciał w przelocie,
Pochwycić boskie natchnienie.

Ci, patrzą w niebo. Lecz taniec to rzadki,
Co jak modlitwa, kończy na kolanach.
Spojrzyj po ludach, a same w ich tanach,
Ziemskie wyczytasz zagadki.

* *
*

Wtedy w żywéj, barwnéj scenie,
Jak w dramacie tajnéj treści,
Każdy skok i poruszenie,
Myśl plemienną w sobie mieści.

Na południu, rozhukaném
Namiętnością i orkanem,
Tamburyno bije skronie,
Kastanieta pali dłonie,
Czarnooka drży i płonie,
Gdy się w burzy, do Kaczuczy,
Od piorunów tańca uczy,
I do rwącéj Tarantelli,
Nóg pożycza od gazelli.

A gdzie miększe dnia połyski,
W ugłaskanéj grzeją sile,
Tam Anglezy i Kadryle,
Cicho krążąc jak motyle,
Wdzięk malują towarzyski.

Tu Germańczyk zwiesił głowę.
Kreśli, wiąże i odmienia,
Swe zadania rozumowe.
Chce ukoić bój zwątpienia,
Chce zapomnieć! Rzuca xięgi.
Uśmiéchnęła się dziewczyna,
Walc w zawrotne wziął go kręgi.
On szczęśliwy, — zapomina!

A gdzie zimy cień przezroczy,
Obdziergany w srebrne płótno,
Gwiaździstemi patrzy oczy,
Gdy siarczyste skrzypki utną,
Serce z piersi ci wyskoczy.

Mazur chrzęsnął szczękiem broni,
Jakby echo od turniejów.
A Krakowiak rżnie i dzwoni,
Jakby kraśny kulig dziejów.

Znagła, wszystkie owe dźwięki,
Bieg zwalniają — szerzéj płyną —
Poskręcane w szkliste pęki,
Nawiązują pieśń jedyną —
I jak potok, co rwie skały,
Aż łożysko w nich wyrzeza,
Wszystkie poszły w morze chwały,
Złotą rzeką Poloneza.

* * *

Dziś, z osobna ludy stoją.
Zgiełk i zamęt w hymnie świata.
Każdy huka nutą swoją.
Ależ kiedyś je dostroją,
I dłoń z dłonią się posplata.

O dniu piękny, gdy narody,
Pójdą w jeden taniec zgody!
Wtedy wstęga ich wesoła,
I zodjaku wstęga górna,
Wezmą ziemię we dwa koła,
Jak pierścienie u Saturna.

* * *

Życie ludzkie, piosnka dzika!
Rytmy łamią się jak lody.
Człowiek codzień napotyka,
Nowe myśli i przygody.

Każda, niby tanecznica,
To łagodna, to burzliwa,
W nowy zawrót go porywa.
Ta odpycha, ta zachwyca.

Gdy na wszystkie rwą go strony,
Pierś mu bije, twarz się pali.
Już stargany i znużony,
Chciałby spocząć gdzieś w oddali,
Aż ostatnia, tajemnicza,
Wchodzi z maską u oblicza,
Przystępuje do człowieka,
I z życiowéj, gwarnéj sali,
We drzwi ciemne z nim ucieka.

Wszyscy pątrzą w nieznajomą,
Z ciekawością i ze trwogą.
Że wybierze, to wiadomo,
Lecz nie wiedzą nigdy kogo?

Nikt wymówić się nie zdoła,
Gdy w ostatniéj nań godzinie,
Zasłoniętą ręką skinie,
I do swego wezwie koła.
A nikogo nie ominie!

Oto starzec, choć złamany,
Ledwie weszła ta milcząca,
Wstał jak struna, kij odtrąca,
I z tajemną poszedł w tany.

Mąż spogląda za rodziną.
Ach, dni jego złotem płyną,
I laurowym kwitną listkiem.
Trzeba żegnać się ze wszystkiém!
Przycisnąwszy ręką łono,
I on poszedł z niezgadnioną.

Tu dziewica w białym rąbku,
Splata kwiecie pomarańczy.
I ty pójdziesz mój gołąbku!
Próżno dłonią kryje oczy,
Łzą przyzywa świat uroczy,
Już tajemna i z nią tańczy.

Znów rzuciła los... i komu?
Ściąga rękę pokryjomu,
Chce kolebkę porwać małą.
Dziecię kwili z niéj nieśmiało:
»Jakże chcesz abym pląsało,
»Kiedy jeszcze iść nie mogę?»
Ha! I ono poszło w drogę.

Niezbłagana, niestrudzona,
Rody, ludy, i plemiona,

Uprowadza po kolei.
Nikt nie pewien kto jest ona?
Jakie daléj nosi miano,
Czy boleści czy nadziei?
Tutaj, Śmiercią ją nazwano.

* *
*

Tak przez krągłe sfer załomy,
Zagarniane w czas ruchomy,
Wszystkie dusze, wszystkie światy,
Zataczają wir skrzydlaty,
Po wieczności saméj krańce.
Aż przed Bożym staną tronem,
I zakończą zmienne tańce,
Odpocznieniem nieskończoném.

1852.

LILJA.

Czém jest wśród ptaków gołąbka biała,
Czém wśród klejnotów perła z wód łona,
Tém pośród kwiatów lilja wspaniała,
»Strojniejsza od Salomona.«

Gołębia, święte znamiona strzegą:
On wniósł do arki gałąź oliwy.
Stokroć nadziemski, stokroć szczęśliwy,
On godłem Ducha Świętego!

Perły te jasne, ach to są może,
Łzy nieszczęśliwych, które anieli,
Na nietykalne świadectwo boże,
W muszlowych skrzynkach zamknęli —

Aby je, wolne od wstrząśnień lądu,
Związane tęczą w setne opaski,
Pod morzem ukryć, i aż w dzień Sądu,
Wysypać na szalę Łaski?

Lecz za cóż lilja hołdy odbiera?
Zkąd jéj mistyczny czar tajemnicy?
Ach, bo ta wzniosła, ta śnieżno-cera,
Obrazem Boga-Rodzicy!

Kwiatem dziewiczym, kwiatem królewskim,
Strzelił dla Marji pręt Aarona.
A gdy po latach, w grobie Efezkim,
Spoczęła cicho uśpiona —

Gdy w noc gwiaździstą znikły Jéj zwłoki,
Wzięte do nieba przez rajskie posły,
W pustym grobowcu, na dnie opoki,
Cudowne lilje wyrosły.

I odtąd lilja niebian pamięta,
Rwie się stęskniona z ludzkich padołów,
I pół-skrzydlata, pół-wniebowzięta,
Stała się kwiatem aniołów.

O większa chwało! Zaszczycie boży!
Jéj kwiat dziewiczy, jéj kwiat królewski,
Siedmioma gwiazdy przeplecion, tworzy
Djadem Królowéj Niebieskiéj.

1852.

MODLITWA.

W szczęściu, jest tém szczęściem samém.
W cnocie, wytrwania potęgą.
W cierpieniu, pociech balsamem.
W grzechu, poprawy przysięgą.

Bóg się w Swém istnieniu błogiém
Nie modli, bo w żadném niebie,
Nie zna wyższego od Siebie,
I dla tego jest On Bogiem.

Anioł, z pochyloném czołem,
Wiecznie zachwycon w pokorze,
Bez modlitwy żyć nie może,
I dla tego jest aniołem.

Człowiek, z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień czy radości kole,
Modli się gdy chce, ma wolę,
I dla tego jest człowiekiem.

Szatan, wszystko wié i umié,
Tylko jedno mu nieznaném:
On się modlić niechce w dumie,
I dla tego jest szatanem.

1852.

NATCHNIENIE.

Bóg, światłem się zasłania przed ludzką źrenicą.
Myśli przyrody, w niemych kształtach skamie-
[niały.
Duch ludzki, sam dla siebie jest niezrozumiały.
Bóstwo — i świat — i człowiek — wszystko taje-
[mnicą.

A jednakże, syn ziemi, pod ową zasłoną,
Może wiele podpatrzéć. Już podpatrzył tyle!
Tak! Lecz jeżeli kiędy rąbek odchylono,
To tylko, gdy natchnienie wzniosło go na chwilę.

Gdy Kopernik budowę wszechświata przemienia,
Gdy Szekspir znurtowywa serc ludzkich bez-
[droże,
Gdy Michał-Anioł sądy odgaduje boże,
Genjusz jest lontem tylko dla iskry natchnienia.

Natchnienie! Ty gromami bijesz w chaos ciemnic.
Jedna twa błyskawica, od razu docieka,

Setnych tajników Bóstwa, świata i człowieka.
Cóż, gdy własne twe źródło, to przepaść tajemnic?

Próżno zgłębiać! Najgrubsza zasłona ocienia
Rękę, co wszystkie inne rozdziera zasłony.
O! Ten byłby zaprawdę najwyżéj natchniony,
Ktoby zgadł tajemnicę samego natchnienia.

1853.



RZEŹBIARSTWO.

W łonie ziemi, kruszce lśniące,
Mdłe kryształy, twarde głazy,
Tkwią jak myśli czczych tysiące.
Któż oblecze je w wyrazy?
Dłoń, co wszelki skarb natury,
Dla osobnych mistrzów stwarza,
Gdzie się blade ćmią marmury,
Zakréśliła świat rzeźbiarza.

Rzeźbiarz! Ach, on Pigmaljonem!
Któryż nie jest nim w zachwycie?
Każdy, tchnieniem rozognioném,
Uściśnieniem ideału,
Chciałby własne oddać życie,
Alabastrowemu ciału.

Lecz nie dosyć, Pigmaljonie!
Gdy twe dzieło się poruszy,
Weźmie życie z twojéj duszy,
I na obraz twój rozpłonie —

Aby wstąpić w poczet mistrzy,
Musisz natchnąć posągowi,
Ten cud sztuki, żywot czystszy,
Co nadludzkość w nim stanowi.

Nie wątp! Czegóż cud nie zdziała?
Prawa tworzy! Prawa zmienia!
Nawet ręka przyrodzenia,
Cudem, rzeźby wytwarzała,
Za wskazówką wyższéj woli.

Kiedy niebo iskry miota,
Uchodząca żona Lota,
Kamienieje w posąg z soli.
Pan zakazał jej z wysoka,
Patrzéć w miasta potępione.
Okiem błysła w ową stronę,
I zmartwiała w błysku oka.

Kto się zwraca z drogi swojéj,
Kto nie patrzy się w nadzieję,
Lecz o przeszłość niepokoi,
Ten jak przeszłość — kamienieje.

* *
*

W starożytnych wieków ciągu,
Gdy olbrzymy przewodziły,
Kolosalny kształt posągu,
Wrażał ludom cześć dla Siły.

I bronicie się czasowi,
O siłacze granitowi!
W assyryjskim pyle grodów,
Dotąd grozi skroń Nemrodów,
Gnębicieli stu narodów.
Egipt milczy pełen trwogi.
Jego króle, jego bogi,
Jak odłamy skały szaréj,
Niebotyczne chmur filary,
Zaludniają puszcz obszary.
Stara pycha śpi zaklęta,
W każdéj z mętnych owych twarzy.
Świat już dawno nie pamięta,
Dzieł ni nazwy tych mocarzy,
A ich postać nieugięta,
Jeszcze »wieczną« chwałę marzy!

Od piramid prowadzona,
Po zawianéj żalem drodze,
Ścigam palmy, i przychodzę
Pod grający grób Memnona.
Dziwne dłonie co go kuły,
Rozcuciły głaz nieczuły,
I nieznaną sztuki mocą,
W faraona pierś ciosową,
Śpiewające wlały słowo.
Przez dzień milczał. Milczał nocą.
Lecz gdy ranne spadły rosy,
Czuł, że nowe słońce wstanie,

I wydawał tęskne głosy,
Jak zagrobne powitanie.

Ach, nietylko Memnonowy,
Ale każdy grób kochany,
Gra i milczy na przemiany.
Nie nawiąże on rozmowy,
Póki ziemia nas ogłusza.
Lecz gdy łzami spadnie rosa,
Gdy się w ciszę wsłucha dusza,
Pierś mogiły tęsknogłosa,
Powié ziemi: »Są niebiosa!«

Myśl po Nilu się spuściła
W pełne morze, i znów Siła,
Wołą na mnie u Rodosu,
Patrzy górnie z ócz Kolosu.
Jego stopy śmiałym łukiem,
Przykowały brzeg do brzega.
Próżno morze z gniewnym hukiem,
U nóg jego się rozbiega.
Chociaż orkan wre najczarniéj,
Choć zasłoni gwiazd zegary,
Żeglarz płynie pełen wiary,
Zapatrzony w blask latarni,
Którą Kolos ponad tonią,
Niestrudzoną trzyma dłonią.

Tak i genjusz, kolos chwały,
Czas podepce, sięgnie wyżéj,

Dwóch przeciwnych wieków skały,
Jednym hardym krokiem zbliży,
I w orkanie, przez miganie
Swojéj gwiazdy tajemniczéj,
Nawie dziejów przewodniczy.

* *
*

Ale trwałość i potęga,
Wszech-piękności nie są szczytem.
Grek to pojął. Wnet zachwytem
Po myśl inną w niebo sięga.
I napotkał myśl wysoką:
Już ogromów nie chce sztuka;
Wypoczynku chciwe oko,
Łagodniejszych kształtów szuka;
Jednozgodność w dziele całém,
Będzie odtąd ideałem.

Nad Helladą jutrznia płynie,
Świat zapachniał tchnieniem wiosny.
W krąg bogowie i boginie,
Nawiązują pląs radosny.
Spowinięte w bluszcz świątynie,
Roztwierają dla nich progi.
W żywy kamień wchodzą bogi.
Wszystkie piękne jak pogoda.
Ale berło nad wszystkiemi,
Trzyma niebian para młoda:
Ach witajcie, arcytwory

Nie z téj ziemi, choć na ziemi,
Jak Platona pierwowzory!

Przez oliwne, święte gaje,
Patrz! Dziewice białe idą.
Każda zdala się wydaje
Stąpającą karjatydą.
Jedne niosą ponad głową,
Kosz okrągły pełen kwiatów,
Drugie urnę jaspisową,
Pełną drogich aromatów.

O wy, z pięknych greckich córek
Najpiękniejsze! Posły Flory!
Gdzież niesiecie te amfory?

»Gdzie? Czy widzisz ten pagórek,
»Od różowych laurów szumny,
»I przezrocze te kolumny?
»Tam jest ołtarz. Tam zasłona
»Była długo zapuszczona.
»Ale dzisiaj się rozdziera.
»Praxyteles rozkochany,
»Śmiał ją zedrzéć, i Wenera
»Z marmurowéj wyszła piany«.

Ledwie słodka woń ustaje
Po amforach i Cyprydzie,

Przez oliwne, święte gaje,
Znowu biały orszak idzie.
»Pean!« Z łonem rozśpiewaném,
Stąpa młodzian za młodzianem.
Lira świeci na chlamidzie,
Z czoła szemrzą listne wieńce.
Gdzież idziecie, o młodzieńce,
Z tym wawrzynem i Peanem?

»Gdzie? Czy widzisz tam na górze,
»Krągły ołtarz, co się bieli
»W promiennościach i lazurze?
»Długo ludzie iść nie śmieli
»Ku tajnikom owéj góry;
»Mrok owijał ją ponury.
»Ale dzisiaj noc rozpruta.
»Fidjasz wybiegł z ciemnych dolin,
»Rozdarł chmurę cięciem dłuta,
»I na słońcu zszedł Apolin«.

* * *

Duszo, porzuć sen znikomy!
Już pogańska pierzcha złuda.
Idź na wzgórki nowéj Romy,
O prawdziwsze pytać cuda.

Rozświetlony wskróś błękitnie,
Wszech-ideał wstał nad światem.
W jego żarach, sztuka kwitnie

Złotokłośném dziejów latem,
Głaz wybujał. I znów Siła,
Ogromami mnie urzeka.
Lecz nie martwa to już bryła.
Tu z pod bryły, jak z pod wieka,
W gorejący słup wybucha,
Wyzwolona postać ducha.

Michał Anioł, olbrzym nowy,
Cudotwórną różczką wskrzesza
Skamieniały cień Mojżesza,
Wsłuchanego w głos Jehowy.

Jak na puszczy lud przechodni,
Drżał i nie śmiał wlepić oka
W tę straszliwą twarz Proroka,
Przerażony, aby od niéj
Bryzgające ogniem rózgi,
Nie rozniosły go na druzgi,
Tak my dzisiaj, ledwie śmiemy
Spojrzéć w obraz jego niemy,
I pytamy, czy z téj głowy,
Dotąd grozą nieruchoméj,
Nie wystrzelą nowe gromy?

Płonna trwoga! Wódz puszczowy,
Kamiennego mistrz zakonu,
I on zadrżał już w pokorze,
Gdy przed Wyższym, na Taborze,
Skroń pochylił do pokłonu.

Siła klękła ruchem cześci,
Nad gromami Krzyż migoce,
Z Krzyżem wyższe zeszły moce,
Moc Ofiary i Boleści.

W Naddunajskich murach grodu,
(Zkąd na czystą naszą chwałę,
Sobieskiego orły białe,
Odgromiły sępa Wschodu,)
Miękką rękę wzniósł Kanowa,
I grób strzelił piramidą.
Ze drzwi zieje noc kirowa,
Chwiejne płaczki jęcząc idą.
Zasunęły rąbki chmurne,
I puszczają łzy na urnę.

Stójcie! Komuż wy niesiecie
To wilgotne mogił kwiecie,
Te pochodnie przewrócone,
I strzaskaną tę koronę?

Nic nie mówią, lecz zasłonę
Łkającemi cisną usty.
Ach nie patrzcie w popiół szary,
Nie przebierzcie we łzach miary,
Jako ten co nie ma wiary!

Wszak widzicie? Grób nie pusty.
U drzwi jego, nakształt warty
Pilnującéj zmartwychwstania,
Na spokojnym lwie oparty,
Biały anioł skroń pokłania.
Twarz u niego jeszcze blada,
Lecz ją podniósł, lot rozpina,
I tym ruchem opowiada
Czém jest boleść chrześcjanina.
Ni jéj rozpacz nie przemaga,
Bo ją niesie lwia odwaga,
Ni jéj ziemia nie usidła,
Bo ma niebo i ma skrzydła.

* * *

Jak poety ręka skrząca
Mknie po lirze w ślad za słowem,
I przy każdém czuciu nowém,
Coraz inną strunę trąca,
Tak i rzeźbiarz, na oddanie
Stukształtnego myśli wzoru,
Sięgnie dłonią i dostanie
Sto żywiołów do wyboru.
Cała ziemia, nieprzerwanie
Sferycznemi brzmiąca wiry,
Gra mu w ręku nakształt liry.

Najprzejrzystsze swe marzenia,
Karraryjską mgłą przycienia.
Drugim, suknię zabarwioną
Tka w bazalty i porfiry.
Innym, ogień kładzie w łono,
I obtapia w okrąg ciała
Śpiż, co wiecznie na niém pała,
Jak opończa Dejaniry.

Od granitu do metalu,
Od onixu do koralu,
Od hebanu do kamei,
Co drogości jest na świecie,
Wszystkie snycerz kładł z kolei
Na wypukłéj swéj palecie.

Czasem zmiesza dwa kolory,
Dwa pierwiastki zaprzyjaźni,
Aby motyl różnowzory
Jego myśli, tém wyraźniéj
Z pod glinianéj wyszedł larwy.

Tak ów posąg Partenonu,
Dwoistego się pokłonu
Dopominał dwiema barwy.
Złote Pallas szaty miała,
Ze słoniowéj kości lica.
Blask słoneczny. Czystość biała.
I bogini, i dziewica.

Chcesz-że widzieć myśl rzeźbiarza,
W czystszy jeszcze strój odzianą,
Szukaj wyspy i ołtarza,
Gdzie najdalsze wschodzi rano.
Przez Indyjskie przepłyń wody,
W Cejlanowéj stań zatoce.
Brzeg perłami zamigoce;
Tam do ciemnej wejdź pagody.

Gmach odwieczną wieje ciszą,
Strop złotemi kapie grony,
Mdło pachnące lampy wiszą,
I coś błyszczy z pod zasłony.
Jak nurkuje blask miesiąca,
Pod jeziora szkłem ruchomém,
Jak brylantu pierś bijąca,
Tęcze pruszy każdym złomem,
Tak się iskrzy, jasno-łony,
Jasno-ręki, jasno-głowy,
Posąg Buddy, wyrzeźbiony
Z jednéj bryły kryształowéj.
Rzekłbyś, ludzka jego postać,
Zachwyceniem zprzezroczała,
Utraciła pomrok ciała.
Choć na ziemi musi zostać,
Pół-niebiańską już się stała.

* * *

Indje złote! Baśń prastara!
Dziwneż to jéj bożyszcz lice!
Tajemniczaż ta jéj wiara!

Sztuka lubi tajemnice.
Zawsze czujna i ciekawa,
Szuka w górze, szuka na dnie,
I rozdziera, i rozkrawa,
I podgląda, aż odgadnie.
A gdy zgadnąć już nie może,
»Co nie zgadnę, — woła — stworzę!«

I stworzyła dziwne dzieła,
Gdzie podwójnie się zamknęła,
Pod kamienia piersią gładką.
Próżno pukać niestrudzenie.
Sfinx rozważa zagadnienie,
A sam wieczną jest zagadką.

Duszo ludzka, sfinxie żywy!
Któż, o tajna, ciebie zgadnie?
Badająca wszystkie dziwy,
Tyś dziwniejsza jeszcze nad nie.
Czy w radości czy w rozpaczy,
Któż granice ci naznaczy?
Wolę twoją cóż pokona?
Niezgłębiona, niezmierzona,
Tak twa nicość jak twa chwała.

I w ciemności i w światłości,
Idziesz daléj niżbyś chciała.
Możesz w marnéj życia chwili,
Zdobyć wielkość niezrównaną.
Dosyć rzec: Tak wielcy byli,
Że posągi im stawiano.

1853.

GENJUSZ.

Mknie listek za listkiem, a wicher je zmąca.
Mknie chmura za chmurą, a burza w nich pała.
Mknie fala za falą, a każda łkająca.
Mknie dusza za duszą, a każda zbolała.

Kolosie wiekowy,
Co łzawe masz rysy,
U ramion kir wdowy,
U czoła cyprysy,
Ludzkości strudzona!
Śród wichru, śród burzy,
Dzień wstaje, dzień kona,
Tyś zawsze w podróży.

I skała za skałą wywija twą drogą,
I przepaść na przepaść wylewa potoki.
Ni wody ni skały cię wstrzymać nie mogą.
Ty dążysz i ufasz, a patrzysz w obłoki.

Co wieków też kilka,
Drży ziemi posada.

Grzmot, burza umilka.
Błysk, piorun wypada.
Po smudze z purpury,
Duch orli, w lot gońca,
Z rozdartéj zbiegł chmury:
To genjusz! Syn słońca!

Ty padasz radośnie w objęcia mocarza.
On szkarłat rozwija nad twoją żałobą,
Zamknięte ci bramy, ramieniem podważa,
I drogę nieznaną roztwiera przed tobą.

Lecz teraz nastaje,
Pytanie i trwoga,
Kto dzierży te kraje?
Gdzie wiedzie ta droga?
Czy w światła i raje,
Czy w noc i otchłanie?
Ach, teraz nastaje
Straszliwe pytanie!

Bo różnie on wodzi. Choć z nieba zesłany,
Dno piekieł go nieraz olśniewa swą łuną.
Nie zawsze on wraca pomiędzy niebiany,
A jeśli upadnie, miljony z nim runą.

Więc nie wierz bezkarnie
Ludzkości strudzona!
Gdy genjusz cię garnie

W miłosne ramiona,
Gdy żąda sojuszu,
I woła: »Tam droga!«
Ty pytaj genjuszu,
Czy idzie do Boga?

1863.



KAMIENIE.

I.

Dziejom świadczyć od rozwicia —
Trwać, gdy w koło świat się zmienia —
Nie znać śmierci, nie znać życia —
Oto dziwny los kamienia.

Gdy się naprzód, gwarną drogą,
Wszelka żywa rwie istota,
Stać i milczéć jak sierota —
Milczéć, może ciepiąc srogo,
(Z kimże kamień żal podzieli?)
Milczéć, może marząc błogo,
(Z kimże głaz się poweseli?)
O męczarnio nad męczarnie,
Któż cię pojmie i ogarnie?

Czy żyjący? Nie, on płonie.
Ran zamarłych co cię bolą,
Nie odczuje w ciepłém łonie,
Kto skrzydlaty wolną wolą.

Któż cię pojmie? Czy umarły?
Może... bo gdy jęk z Golgoty,
Wzbudził w ziemi dreszcz zgryzoty,
Groby same się rozwarły,
Jakby nawet martwa skała,
Głos umarłych zrozumiała.

Ale żywy, próżno puka,
Szkłem i ostrzem głazy śledzi.
Z ich zaklętych ust, Nauka
Nie usłyszy odpowiedzi.
Niewié nawet, czy te bryły
Żyły już? Czy będą żyły?

Jeśli prawdą, co mówicie
O mędrcowie, — jędno życie,
Stu szczeblami, jak drabina
Jakubowa się rozpina,
I za niebem goni.

Zrazu,
Śpi głęboko w łonie głazu —
W mdłéj roślinie tlejąc marzy —
Z oczu zwierząt iskry pruszy —
Aż u szczytu się rozżarzy,
W białą lampę ludzkiéj twarzy,
W złoty płomień ludzkiéj duszy.

Lecz niestety! Iluż ludzi,
Tę odwieczną kolej zmienia,
I u szczytu prób się budzi,
Z duszą twardszą od kamienia!

Może takim wracać trzeba?
Może głazem znów się staną,
By raz wtóry, aż do nieba
Snuć drabinę rozerwaną?

Tak pod martwych brył osłonę,
Dwie się różne kryją siły:
Jedne, jeszcze nie zbudzone,
Drugie, co się źle zbudziły.

* *
*

Ledwie wyrzekłam, ogarnia mię skrucha.
Przyrodo! Cofam potwarcze wyrazy.
Ty jesteś dziełem Najlepszego Ducha,
Miałżeby same wydziedziczyć głazy?

Nie! I w nich złożył dobroczynne moce.
Wszak w ich to państwie cudownie migoce
Ów kamień rajski, marzony, śpiewany,
(»Filozofalnym« go stare zwą xięgi,)
Co tknięty, wszystkie nadaje potęgi —
Zdobyty, równa człowieka z niebiany?

Droższy nad złoto, droższy nad brylanty,
On hasłem walki, celem prac i męki.
Na to się w Olimp wdzierały Giganty,
By z nieśmiertelnéj wychwycić go ręki.
Na to Hierofant bił Sfinxom pokłony,
By je wypytać o ten klejnot boży.
Na to Astrolog czuwał nieznużony,
By znać godzinę w któréj on się tworzy.
Na to Alchemik brał cążki ze stali,
By jego w tyglu odnaleźć pierwiastki.
Na to Wieszczowie po niebie latali,
By z najukrytszéj wyłamać go gwiazdki.

Wszystkich go wieków szukała nauka,
I jeszcze dzisiaj, ach któż go nie szuka?

To skarb, którego szczęśliwy posiadacz,
Już posiadł wszystko. To »kamień mądrości«,
»Kamień wszech-prawdy«.

I nietylko badacz
Wié gdzie on leży, lecz i ludzie prości,
(Jak wieść zapewnia,) wynaleść go mogą.
Ci nawet, krótszą trafiają doń drogą.

Nieraz podobno niewinne pacholę,
Nosi bezwiednie ten klejnot na czole.
Źli go nie widzą, (chociaż ich przenika
Jakiś niepokój,) lecz widzą cnotliwi,

I póki dziecię nie zgubi kamyka,
Jasnością czoła złych i dobrych dziwi.

Czasem, nić grubą ciągnąca z wrzeciona,
Chłopka go kryje za zgrzebłem koszuli,
I świat się ani domyśla, że ona,
W szaréj lepiance bogatsza od króli.

O, gdyby można jak małe to chłopię,
Znaleźć ów kamień i mieć z niego djadem!
Wszak szukać wolno? Tak! Pójdę ich śladem.
I ja się może tych skarbów dokopię.

Ale gdzież pójdę? Czy drogi nie zmylę?
Tyle dróg różnych! I rozdrożów tyle!

A gdyby spytać panów tajemnicy?
Owi Gwiaździarze, owi Alchemicy,
Wielcy więc dobrzy, nie odmówią rady.
Biorę ich xięgi. Ach... pismo zatarte!
W ciemnych zaklęciach, w pogmatwanym wątku,
Myśl się zagubia. Już ostatnią kartę
Czytam, i tyleż wiem co i z początku.
Źli przewodnicy! Arcymistrze zdrady!
Może i znali drogę tajemniczą,
Cóż kiedy sami zatarli jéj ślady?
Nie chcieli — skąpcy — dzielić się zdobyczą!

II.

Więc porzucam błędne koło,
Gdzie człowiecze myśli giną,
I znużone skłaniam czoło,
Na Przyrody pierś matczyną.

Zaklnę Duchy i Genjusze
Które służą pod jéj władzą,
Tajemnicę z nich wymuszę,
Niech mi kamień ów oddadzą.

Ciebie wzywam, najsędziwszy
Ze skarbników matki-ziemi!
Ty, co wór jéj napełniwszy
Bogactwami królewskiemi,
Stawiasz z górskich krajobrazów,
Dom twéj grozy i przynęty —
Ciebie wzywam, Duchu głazów!
Stań, i pokaż skarb zaklęty.

* * *

Wysłuchał prośby. Straszne wysłuchanie!
Pękły jak wrota podziemne otchłanie.
Stoi przedemną... Podobny do szkicu
Mrocznéj, spiczastéj, niewyraźnéj skały.

Starość na czole — majestat na licu —
Płaszcz w ostre fałdy, po brzegach omszały,

Usta bezfałdne, jak trumienne wieko,
Zwarte na głucho. Tych ust ja się boję...

Pod brwią nawisłą, pod ciężką powieką,
Drga i lśni oczu przepaścistych dwoje,
W obwódkach czarnych jak zgasłe kratery,
Dwie iskry, martwe jak dwa solitery.

Wstęga siejąca Golkondowe blaski,
Mroźnym nimbusem skroń mu opierścienia.
Któż go nie pozna z tych ust i przepaski?
To Duch kamienia. To Geniusz milczenia.

III.

Stój! nie znikaj pyszny Duchu!
Jak pod wieczór, cień opoki,
Na przeciwnym gór łańcuchu
Płynie, cichy i wysoki,
Tak na marzeń mych obszarze,
Pierzcha postać zamierzchliwa.

Staje. Skinął. Czy mię wzywa?
Czy ów kamień mi pokaże?

Ach, za tobą pójdę wszędzie,
Żywy słupie wskazicielu!
Wszelka droga krótką będzie,
Jeśli Prawda jest u celu.

* *
*

W drogę! Pieśń idzie, śledząc Przewodnika.
Topór fantazji przerzuca przez ramię,
Kaganek myśli nad czołem zatyka,
Ciemne rozświeca — niezłamane łamie —
I jak ów bożek o laseczce złotéj,
Co w kraj przepastny schodził z umarłemi,
Do nóg przypiąwszy skrzydełka tęsknoty,
Jaskółczym pędem upada w głąb' ziemi.

Widok przepyszny i straszny. Tu wrzała,
W czasach bez roku, walka bez nazwiska.
Jakby Tytanów ćwiertowane ciała,
Pną się i dławią zwalone skaliska.
Tu szkielet biały — tam trup jeszcze siwy.
Twarz wszędzie jedna: wszędzie twarz Meduzy.
Szczęście, że oczy już zgasły.

Te gruzy
W okrąg zsypane, czy to rozwaliny
Gmachów bajecznych, pomnących wiek złoty,
Kędy nadludzkie mieszkały istoty?
Wyższe od ludzi? Czy gorsze od ludzi?

Echem bez końca skarżą się te mury.
Ach, nieśmiem stąpić... A jeśli też który
Z owych olbrzymów, na szmer się rozbudzi?
A jeśli ryknie? Lub ciśnie buławę?
Wszystko śpi. Szkoda. Wolałam obawę.

Mamże ci Starcze, uczynić wyznanie?
Ja głaz trąciłam! Ja miałam nadzieję,
Strach i nadzieję, że który z nich wstanie,
I przed-człowiecze opowié mi dzieje.
Śpią! pójdźmy daléj.

Jak dziwne filary!
Graniaste, kształtne, przycięte do miary.
To Bazalt, jeszcze żyjący na poły,
Tysiąco-letnie składając nacieki,
Ślimaczym ruchem, z cierpliwością pszczoły,
Jakieś potworne buduje pasieki.
Co wiek, pilaster złoży do pilastru,
I słup do słupa, i piętro na piętrze,
Aż lasem kolumn wyrurkuje wnętrze,
Jak oczkowanie miodowego plastru.

Nagle, pomiędzy skały siwobrode,
Padło, igrając i siejąc pogodę,
Coś dziewiczego: to blask Alabastru,
Co jak Niewinność, wstydliwa lecz pusta,
Pierś ma ze szronów, a cukrowe usta.

Poniżéj białych niewinności głazów,
Jak wąż pokusy pod serce wśliźnięty,
Serpentyn wije zielone rozkręty.
Żył może niegdyś, najwspanialszy z płazów?
Może ów pierwszy, co pomiędzy drzewy
Rajskiemi pełzał, uwodziciel Ewy?
Pod klątwą bożą zmartwiał skamieniały;
A gdy go pociął miecz Cherubinowy,
Po całym głobie rozpadł się w kawały,
Tylko już »startéj« brakuje mu głowy.

Ówdzie, słynące do gwiazd pogranicza,
Z twardości serca i dumy oblicza,
W ciemnéj purpurze tronują Porfiry.
Patrzą przez ramię na przybycie moje.
Gorszą się hardém wtargnięciem téj liry,
Co w ich cesarskie śmié dzwonić podwoje.

Łaskawszém czołem zwracają mię z drogi,
Łomy świeciste jak wiosenne chmury.
Tu nie Cezary już, ale pół-bogi,
Natchnienio-rodne mieszkają Marmury.

Tu wszystkie wieki z haraczem się garną,
Wszystkich tu krain dosłucham się mowy.

O... ten, Egipski, jak Ibis Nilowy,
Skrzydła ma rude, nakrapiane czarno.
Tamten, Kaspijski, sam falą się wyda,
Gdy skrzące muszle wachlarzem roztoczy.

A tam, w pustyni, ów żółty Numida,
Słońcem tak przesiąkł, że rozgrzewa oczy.

A Włoskie! Po co budować Muzea?
Rozsiać marmury, i gmach ukończony.
Z Florencji, świeży jak listek. Z Werony,
Krwawy i smutny jak serce Romea.
Te Karraryjskie, czy nie strusie puchy?
Tchnij, a ulecą, pół-głazy, pół-duchy.

A teraz, pokłon marmurom Orjentu!
Ach, co za dziwy! Kalifowe stroje!
Sułtańskie sady! Gwiazdy firmamentu!
Kręcą się dziane w kamieniu zawoje.
Ręka Hurysek dziergała te ściegi,
Gdzie arabeski wywijane w palmy,
Płyną jak szalu indyjskiego brzegi.

Siądźmy tu Starcze, i patrzmy, i chwalmy
Dzieło stworzenia, co umie być takiém
Jak baśń.

Ach! Starzec przyzywa mię znakiem,
Od gniewliwego wymowniejszym głosu.
Idźmy, — skończona dla oczów uciecha!

Lecz jakże minąć ten marmur Parosu,
Co w głębi usnął, i śpiąc się uśmiecha?
Jeszcze górniczy go nie zszedł zdobywca,
Jeszcze mu rzeźbiarz nie pukał do łona,

A już oddycha torsem Endymjona.
Śni mu się Djanna! Nie budźmy szczęśliwca.

Te są, martwego królestwa mocarze.
Do koła, przysiadł i gmin wielogłowy.
Tu mętne Kwarce, tam zlepek Ciosowy.
Powszednie szaty — niewyraźne twarze.

Ich żywot, pełen nieznanego trudu.
Tarte, deptane, tłuczone w okruchy,
Toczą po globie swój ocean suchy,
Na pozór martwy. Podobne do ludu.
Jak on cierpliwe, i jak on — straszliwe.
Niech raz huragan da im stopę lotną,
I na wiatr puści piaszczystą ich grzywę,
A w pustkę zmienią najzieleńszą niwę,
Żwirem królewskie piramidy potną.

Krzemień im wodzem, — lecz tylko w odporze.
Pod szarą świtą, bohaterska dusza.
Niewyzywany, przez wiek milczeć może.
Dźgnięty żelazem, sycząc się obrusza,
I ogień miota piersią Tyrteusza.

. . . .

Starcze, na pomoc! Źle się dzieje ze mną...
Czyliż nie widzisz? Płomyk méj latarni,
Chwieje się... gaśnie... A tam coraz czarniéj —
Tam wieczna ciemność!

Nie! I tu nie ciemno.
Przez litościwą zawieszone wróżkę,
Samoświecące Bonońskie kamienie,
Jak lampy grobów tleją nieskończenie,
I zrzadka, mroczną rozwidniają dróżkę.

Pod ich światełkiem, jawią się i giną
Dziwne obrazy!

O tu... za szczeliną...
Co tak migoce i blaskami zérka,
Jakby kto kręcił pocięte lusterka?
Czy wiatr ciekawy, do ziemi rozprutéj
Wpadł, i Ondynom zamroził fontannę?
Czy to są szczątki zastygniętéj huty,
Gdzie Gnom wydmuchał bawidełka szklanne?

Ni szkło, ni woda. To prześliczna Mika,
Swoje skrzelowe tafelki odmyka.

Żeglarz ją wprawia w otwory kajuty.
Spęka się kryształ falami przekłuty,
Ona nie pęknie; sprężyste jej denko,
Jak mur odpycha szturmujące głębie.
— Z niéj może Noe miał w arce okienko,
Gdzie wylęknione gruchały gołębie?

A tu, co szemrze? W sto kiści rozplecion,
Amjant się snuje z niewidzialnych wrzecion.

Godło sumienia: plam na jego włóknie,
Woda nie zetrze, a płomień je ściera.

Skarb wieczny: z niego nieśmiertelną suknię,
Greczynka tkała dla zwłok bohatera.
Z niego Laponka, wyostrzonym końcem
Ościenia, dzierga te knoty bez ceny,
Przy których dziatwa i pół-senne reny,
Będą pół roku czekały za słońcem.

Niedość że dłonie śmiertelne go przędły,
Pono i Parka na kądziel go mota.
Niepróżno mota! Z jéj ręki uwiędłéj,
Kamieniem idzie nasza nić żywota.

A tam? Kto zwalił toczone te płyty?
Są-że to gruzy świątyni rozbitéj?
Nie, tu kostnica starych dni się ściele,
Tu krętorogie leżą Ammonity,
Niby Jońskich kolumn kapitele.
Gdzie spojrzę, widzę wytłoczone wzory
Nieznanych istot: paprociowe bory,
Skrzydlate smoki. Rozszalałe życie.
Z gruba ciosane stworzenia początki.
Wszystkie już znikły, ale ich odbicie,
Najwyższy Mincerz wyrznął dla pamiątki,
Ażeby ludzie, z kamiennych medali,
Całą myśl Jego kiedyś odczytali.

Schodzę. Im głębiéj, tém rzadsze wyciski.
Obraz szarzeje — coraz pustsza droga —
Skały się chmurzą, i złemi połyski
Zézują ku nam. Straszliwa przestroga!
Stańmy! Gdzie dotknę, już nic tylko ściany
Chropawe, głuche, bez barw ni odmiany,
Jak zasklepienie olbrzymiego grobu.
Przebóg! To Granit! Podwalina globu.
Granica życia. Świat zamurowany.

IV.

Nie, już daléj nie pójdziemy.
I tu zostać? Żywcem w grobie?
Sam-że powiedz, Starcze niemy,
Czyż mam jeszcze ufać tobie?

Już obeszłam wszystkie skały,
Gdzież ów kamień tajemniczy?
Wracaj ze mną pod dzień biały,
Lub doprowadź do zdobyczy.

Duch mi rzucił wzrok zachęty,
Jakby dziecku co się żali.
Ruchem dłoni rozwiniętéj,
Musnął głaz, i wskazał: »Daléj!«

* * *

Granit, pod jedném dotknięciem téj ręki,
Z wrzeciądzowemi roztworzył się dźwięki.
Ach, co za jasność! Co za świat przezroczy!
Patrzę, wpół ślepnę, — zasłoniłam oczy.

Mnie się wydało że wszystkie Najady,
U czoła trawy nawieszawszy bladéj,
Bijąc we wstęgi rozwichrzonéj szaty,
Oceanową przechyliły urnę,
A to nie fale, to Kryształy górne,
U stóp mych pękły w migotne pryzmaty.

Pękanie ciche, — my jednak słuchamy.
Tu się milczenie barwami rozdźwięcza;
Gra świateł idzie w oktawy i gammy;
Kryształ narzędziem, a muzyką tęcza.

Nie spiesz, o Duchu! Niech oczy napieszczę
Stu-farbną pieśnią. I czy tylko farby
Grają w krysztale? Ach nie, ja tam jeszcze
Inne odkrywam, zatopione skarby.

W téj oto bryle majaczy »Obłoczek«,
Łzawy, jak białko niemowlęcych oczek.

W tamtéj, drżą pęki czesanych promieni,
Mdłe jak te nitki co krążą w jesieni,
Światłe jak bisior, cieniuchne jak włoski.
»Czyjeż to włosy?« Pytali uczeni.
»Chyba nie z ludzkiéj są głowy, lecz boskiéj?«

Bywa, że starzec, w samotnéj godzinie,
Gdy pukiel zmarłéj kochanki rozwinie,
Dawnym rumieńcem i spojrzeniem strzeli.
Tak przy tych puklach, mędrcy odmłodnieli,
Myślą wróciwszy w Olimpijskie sfery,
Rzekli z uśmiechem: »To Włosy Wenery!«

Może, gdy warkocz rozplotła w kąpieli,
Skradł je Kupido igrający przy niéj?
Rad, że z nich sobie cięciwę uczyni,
Pod skałą morską, na wszelkie przygody,
Składał ich zapas. — Lecz zazdrosne wody
Skrzepły, i wejście zaparły w jaskini.
Spłynęły wieki, zginęły narody,
Znikły i bóstwa Helleńskiéj świątyni,
Tylko się został na łonie przyrody,
Szklanny medaljon z włosami bogini.

Gdzie mnie wprowadzasz? Światła i kolory,
Tężeją w ściany, wyskakują w łuki.
Czyżby tu Genjusz budowniczéj sztuki,
Stawił dla ludzi boskie pierwowzory?

Filarki w giętkie porozszczepiał żebra,
Ganki w cudowne obdziergał koronki.
Gmach źwierciadlany! Stu-słupne przysionki!
Palmiry z lodu! Alhambry ze srebra!

Tak, równy gwiazdom co świecą z błękitów,
Świeci pod ziemią Pałac Stalaktytów.

Tu w pocałunkach pukającéj kropli,
Podziwiam tryumf cierpliwości świętéj.
Czasem dwoisty: do nawisłych sopli,
Pną się i z ziemi kiełkujące pręty.
Jakby dwóch lilji odwrócone lejki,
Rosną ku sobie w tęsknocie dalekiéj,
Aż Nimfa jaskiń, wstęgą czarodziejki,
W białym uścisku je zwiąże na wieki,
I tylko lekka zaklęsłość obwodu,
Zdradza, że były rozdarte za młodu.

Tak Miłość, nieraz przyciąga przez lata,
Dwa serca wyszłe z dwóch biegunów świata,
Różne od siebie jak niebo od ziemi.
Twardą niedolą, łzami kamiennemi,
Zwolna je zbliża, — jedno z nich przychyla,
Drugie podnosi, — aż nadejdzie chwila,
Gdy łzę ostatnią uronią oboje,
I w jednolitą kolumnę miłosną,
Czuciem i myślą tak mocno się zrosną,
Że już nie wiedzą, co »moje«, co »twoje«?

Ciągniona równym krokiem Przewodnika,
Próżno przystawam i odwracam głowę.
Dróżka się wyżéj a wyżéj pomyka,
W dole zostały gmachy kryształowe.

Czasem najwyższą zaiskrzą się igłą.
Zmierzch im narzuca przejrzystą poświatę
Zimowéj nocy, — i wszystko zastygło,
Jak wielkie, ciche, morze lodowate.

V.

Dość téj zimy. Ciepła! Wiosny!
Wzrok się trudzi, dusza trudzi.
Przewodniku bezlitosny,
Wróćmy lepiéj między ludzi.

Po co wodzić na tumany?
Już mię zmroził świat kryształu.
Nie tu leży mój szukany,
Święty kamień ideału.

W obietnice już nie wierzę,
Płonną dałeś mi nadzieję.
Ach ten kamień. — wyznaj szczerze —
»Kamień prawdy« nie istnieje!

Groźną ku mnie zwrócił głowę —
Spojrzał... w oczach gniew się pali —
Podniósł ramię opokowe,
I pokazał: »Jeszcze daléj!«

* * *

Nagle, z białości zamarzłego morza,
Tysiączno-farbna wynurza się łuna,
Jakby pod ziemią zaigrała zorza,
Od północnego bijąca bieguna.

Jakież to miasto i pożar na głębi?
Niewidny płomień, a wszystko tam gore.
Po ślizkich dachach wąż iskier się kłębi —
Łyskanie pada za szyby stuwzore —
Fossa wyrzuca fosforyczną pianę —
Pełgają blanki siarczystego muru —
Przez każdą basztę i przez każdą ścianę,
Płyną strumienie różu i lazuru —
A wszystko nieme i zaczarowane,
Za wiotką kratą promiennych upłotów,
Światłem się trzęsie, w kolory się mieni,
Jak sen.

Poznaję: oto »Gród Klejnotów«,
Oto stolica w królestwie kamieni.

. . . .

Są i przedmieścia. Tu siedzą przybysze,
Co prawom wierni, na trudy wytrwali,
Obywatelstwo z rąk czasu dostali.

Oto kolonja przemyślnych Korali,
W koło stolicy krąg ogromny pisze,
I jakby szaniec ją bierze w obronę.

Niegdyś żyjące, dzisiaj skamieniałe,
Pokoleniami bez liczby spiętrzone,
Już w niespożytą zmieniły się skałę.

Ród zacny. Wielki przyjaciel człowieka,
Zwłaszcza dzieweczek. Na schludną ich szyję,
Chętnie się nitką przyjaźni nawleka,
W tańcu raźnemi grzechotkami bije,
I zdrowo kwitnie jak panieńska cera.
Lecz nienoszony, blednie i zamiera,
Jakby wyznawał, że mu na odżycie,
Potrzebne serca człowieczego bicie.

W sąsiedztwie, żółte roztrzęsły się bryły.
Skra elektryczna po żyłach im płynie.
I ja zadrgnęłam. O jakżeś tu miły
Dla tęsknych oczu, mój polski Bursztynie!

W mumjowéj przędzy twoich powijaków,
Czasem się senny motylek zakopie.
Lub mech cię potnie sylwetkami krzaków.
Na twych pieczęci woskowym ukropie,
Tysiąc się dziwnych odcisnęło znaków.
Lud z nich odczytał, że to są »Łzy ptaków«.

Zkąd im ta boleść? Ach, może w potopie,
Kiedy postrzegły, znużone już lotem,
Że ich i skrzydła od zguby nie bronią,

Złotemi łzami płakały nad tonią,
I łzy niewinne zostały klejnotem.

. . . .

Otóż i mury stołeczne. U bramy,
Jest Argusowa straż: to Kocie Oczy,
Śledzą nas białkiem latającéj plamy.
Precz, zły uroku!

Już wrota mijamy.
Cicho. Mieszkańce, o twarzy przezroczéj,
W bogatéj szacie, w opoczystym domu
Siedzą, i wiodą złoty wiek swobody.
Ach, już tu chyba nieznane uikomu,
Ni żądło troski, ni żagiew niezgody.

Jeżeli kiedy człowiek się tu włamie,
Będzie to smutek pierwszy i jedyny.
Straż Argusową zdwajajcie przy bramie,
Szczęsne dziedzice zaklętéj krainy!

Co słyszę? Hufce zatętniły zbrojne...
Więc się myliłam? I wy znacie wojnę?

Przodem, na rogach grają Kornaliny,
Spiekłe trębacze o brwi marsowatéj.

W ich ślad, ścisłemi pułkami chodzące,
Czerwonych lontów zatliwszy tysiące,
Rotowym ogniem strzelają Granaty.

Czasem, zaryta wśród gruzów i mułu,
Pęknie jak bomba światłość Karbunkułu.

Ostatni, Krwawnik, weteran stargany,
Źle zabliźnione pokazuje rany.

Nikną. Przygłuchły wojownicze chrzęsty.
Krąży tłum cichszy, jak w kanaku gęsty.

Zżółkłą, znoszoną powłóczący togę,
Jakiż to starzec zachodzi nam drogę?
To Hjacynt, lekarz niegdyś zawołany.
Słynął przed wieki łaskawemi cudy,
Czciły go Indy, czciły Egipcjany,
Dziś o nim płoche zapomniały ludy.
A żal! On umié, obwiązką z purpury
Wywabiać jady, przytępiać żelaza.
Przed nim pioruny wracają do chmury,
I czarno-skrzydła ucieka zaraza.

Daléj, Beryle wysmukłéj urody,
Jakby Kanefor rzęd wyprostowany,
Przenoszą szkliste, długoszyjne dzbany,
Po brzeg od morskiéj mieniące się wody.

Opodal, skała niezwykłéj budowy,
Zgina pieczary sklepione jak cele.
Pod każdą sztukmistrz Lapis-łazurowy,
Godne serafów tworzący missele,
Marzy o gwiazdach w kamiennym eremie,
I na paginie gorąco-niebieskiéj,
Złotym pędzelkiem wywijając kréski,
Spisuje modły szeptane przez ziemię.

Tuż przy klasztorku, i ogród rozwity,
Wiosen tysiące już trwa: Malakity,
Wiecznie zielonèm kiełkujące ziarnem,
Związują słoje, gałęzie i kory,
Balsamowane ostatki téj flory,
Co niegdyś kwitła pod niebem polarném.

A ta wieżyczka? To słup Chryzolitu.
W ostrą, twierdzową narzynany ściankę,
Łuszczy się daszkiem złupanego szczytu.
Wewnątrz, rozpięto zieloną firankę,
Ale i przez nią, coś niepochwycenie,
Lśni się i rusza. Może to więzienie,
Gdzie Chochlik zamknął zazdrośnie kochankę,
Tę gwiazdkę, wiecznie szukającą świtu,
Którą pochwycił na pajęczą tkankę,
Kiedy wietrznica spadała z błękitu?

Poniżéj, w cieniu więziennych podwalin,
Jak szpieg-dozorca przystanął Turmalin.

Płaszcz na nim czarny o tłach z axamitu,
Ale się strzeżmy tych zdradnych jedwabi,
To kamień fałszu. Magnetyczna siła,
W zimne mu piersi dwa prądy puściła;
Dotknięty, razem odpycha i wabi.

Ówdzie, malarską spostrzegam pracownię.
Wiszą po ścianach Agaty wzorzyste;
Na nich, oddane przez miniaturzystę
Bezimiennego, snują się cudownie,
Jakieś mirażom kradzione oazy,
I nikłe rzędy bajecznych rozwalin.
U brzegów, żywsze porozrzucał skazy,
Niby obwódkę z różyczek i malin.

Obok, postawił modrawe Jaspisy.
Na nich, jesienne za mgłą krajobrazy,
Xiężycowemi naszkicował rysy.
Plączą się gaje otręsione z liści;
A takie wiotkie te drzewa i ziółka,
Że by ich musnąć nie śmiała jaskółka;
Siądą tam chyba Sylfowie przejrzyści.

Jakież to echo przeniknęło ciszę?
Mogłabym przysiądz i na wody Styxu,
Że odgłos dłuta Helleńskiego słyszę,
A to się tylko w kuźnicach Onixu,
Dwubarwne warstwy nitują z kolei.
Krwista pod spodem wre. Po wierzchu biała,

Z pierwszéj ssie ciepło i drga tętnem ciała,
Jakby u żywych rąk się dopraszała,
By w niéj wycięły boską pierś kamei.

Lecz któż was, cenne policzy kamienie?
Za wielki natłok. Już niepostrzeżenie
Nuży się oko spragnione wyboru.
Spiesz Przewodniku! Już czas nam do Dworu.

. . . .

Nad miastem, Zamek widnieje, świetlany,
Jak zachód słońca, gdy ognie pochowa
Za gockich różyc farbne filigrany.
Otóż i przedsień, i sala tronowa.

Ach, tu już orléj mi trzeba źrenicy.
Tu wszechbarwnemi przepychami świetni,
W kurulnych krzesłach siedzą dostojnicy,
Senat klejnotów — sejm tysiączno-letni.

Przez krasomówną migotań zamianę,
Radzą nad mądrą kryształów ustawą,
Sprawdzają liczby w przyrodzie spisane,
I coraz nowe odnajdują prawo.

Ametyst przywdział biskupie fiolety.
Kapłan klejnotów, na poły w żałobie,
Spojrzeniem ziemskie umarza podnięty.
Niechże więc wszędzie towarzyszy tobie;

Czy siadasz w kole ucztujących gości,
Czy puszczasz bańki czarodziejskich rojeń,
Noś go na palcu. To »kamień trzeźwości«:
Głowę i serce broni od upojeń.

Goreje Topaz, którego początek
Czytamy w xiędze magicznyeh pamiątek.
Salomon dumał; dwa klucze miał w ręku.
Królowéj Saby chciał dać upominek.
Zajrzał do skarbca, do cedrowych skrzynek,
I nic nie znalazł godnego jéj wdzięku.
Ale się stanie cokolwiek on każe,
Bo król ów rządzi duchami licznemi.
Dziś im powiedział: »Połączcie w tym darze,
Co jest najmilszém na niebie i ziemi.«
Geniuszek, twardym zmuszony rozkazem,
Wziął promyk słońca od czystéj pogody,
Kropelkę z winnéj utoczył jagody,
Na sercu króla położył je razem,
A tam zawrzały, i błysły — topazem.

Szmaragdzie! Rajską witaj mi rozkoszą!
Twe blaski grają na wiosenną nutę,
Czyśćcowe dusze nad czołem cię noszą,
I bramy nieba są z ciebie wykute.
Wąż — wedle wieści — kiedy cię zobaczy,
Rażony blaskiem, ślepnie i drętwieje.
Tak serce, w grzesznéj zwinięte rozpaczy,
Niéma już oczu by dojrzéć nadzieję.

Pozdrawiam ciebie, ty różo, z ogrodu
Klejnotowego, miłosny Rubinie!
Chociaż pierś twoja przejrzystsza od lodu,
Krew nieśmiertelnéj młodości w niéj płynie.
Gdyby dać wiarę opowieściom Wschodu,
Wzięty w obrączkę, i na lewém ręku
Wiernie noszony, twój kryształ, przymnaża
Mężowi mocy, a kobiecie wdzięku,
I do ślubnego ich wiedzie ołtarza.

Wrzyna się w pamięć twarzą lapidarną,
Turkus, czarodziej, mistrz i dobroczyńca.
Błagalne tłumy do niego się garną;
Turkus, nikomu nie skąpi gościńca.
Ubogim, losy przynosi łaskawsze,
Ręce przyjaciół związuje na zawsze,
Odwraca wpływy szkodliwéj planety,
Sprowadza pokój wieczyście żądany,
Od wszelkiéj troski daje amulety,
Na wszelkie szczęście daje talizmany.

Przecież jest jedno pod słońcem uczucie,
Które go jątrzy, to miłość szczęśliwa.
Jest jedna wada, co jakby zatrucie,
Zakątki serca pleśnią mu pokrywa,
To zemsta, — skryta, zawzięta, zgryźliwa.
Ach, jak się dziwić? On, co dobrą wiarą
Żyje, co »stałość« wziął sobie za godło,
Padł, niestałości serdecznéj ofiarą.

A to nieszczęście tak pierś mu przebodło,
Że jeszcze dzisiaj żółcią zielenieje,
Gdy pomni dawne (choć tak dawne!) dzieje.

Było to wcześnie, w najpierwszym dniu świata,
O samym świcie, gdy rosa przelata.
Kamyk, dopatrzył kropelkę tej rosy,
Odbijającą przejrzyste niebiosy,
Wziął ją w prostocie za turkus przezroczy —
Ona go wzięła za rosę podziemną —
Szczero-niebieskie spotkały się oczy,
I wierność sobie przysięgli wzajemną.

Snuł się ten związek, niewinnie i rzewnie
Przez trzy godziny, przez całe zaranie,
I dziś by jeszcze dosnuwał się pewnie,
Gdyby nie słońce. Któż wiedział że wstanie?

Wyszło z pod ziemi, wielkie, tajemnicze.
Turkus na jego nie spojrzał oblicze,
Widział je tylko w swéj kropli. Lecz ona,
Uczuła ciepły wzrok uwodziciela.
Już ją gorącym rumieńcem przestrzela,
Już do złotego przyciąga ją łona.
Kropla się jeszcze waha roztrzęsiona...
W końcu o wszystkiém zapomniawszy, cała
W jego płomiennném objęciu ztopniała.

Turkus już nigdy nie kochał raz drugi,
Ani łzy w suchém nie pokazał oku.

Ale już odtąd, nie znosi widoku
Dwojga serc czułych, i biorąc w usługi
Moc czarnoxiężką, na przyszłych małżonkach,
Mści się za przeszłość. Niech go narzeczeni,
W zaręczynowych nie noszą pierścionkach,
Bo wnet ich serce złośliwie odmieni,
Szczęście się dla nich jak rosa ulotni,
I jakby kamień zostaną samotni.

Szafir! Któż jego wejrzenie opisze?
Jak anioł, sieje beznamiętną ciszę,
Z któréj pogoda uśmiecha się boska.
Krąży téż w Azji, (gdzieś pod Himalajem,
Kolebką ludów,) odwieczna pogłoska,
Że gdy po grzechu, z tęsknoty za rajem,
Pierwszy poeta zaśpiewał na ziemi,
Anieli, chcący doslyszeć go z dali,
W okienku nieba szybę wyłamali,
Szczątki jéj spadły szkiełkami modremi,
I w szafirowém dziś jeszcze przezroczu,
Światłość anielskich przechowały oczu.

Inaczéj grają źrenice Opalu.
Gdy córka Ewy obejrzy się na nie,
To wzrokiem lubym, lecz i pełnym żalu.
Nie śmié go nosić. Trwoży ją podanie,
Że jeśli opal przyciśnie do łona,
Już jéj szczęśliwość na zawsze stracona.

Dawna to powieść, starsza od potopu —
Słodka i smutna jak woń heliotropu —
Z tych dni, gdy w ludzkich kochali się córach,
Synowie boży, niebiańskiéj postaci,
Orlo-patrzący, łabędzio-skrzydlaci.
Skrzydła to były cudowne, o piórach
Niepokalanych jak śniegi na górach,
Wiotkich jak senne dróg mlecznych obręcze.
A w téj białości przełyskały tęcze,
Od których postać mieniła się cała.

I takie skrzydła miłość połamała!

Noc była ciepła, zawrotnie pachnąca,
Gdy szli po skośnym promieniu miesiąca.
Przyklękli, usta różowe jak ranek,
Płomiennie zwarli z ustami ziemianek,
A w téjże chwili, — ach tak, w téjże saméj!
Skrzydła im prysły na drobne rozłamy,
I już namiętnym »opalone« żarem,
W tęczowo-mleczne żuzle się zeszkliły.

Odtąd w opalu majaczą złe siły.
Wabiąc pół-ziemskim, pół-niebiańskim czarem,
Stwierdzają wzbronne dwóch światów zamęście,
I córom Ewy przynoszą nieszczęście.

A teraz wszystkie ustąpcie klejnoty,
Niech się waszemu królowi pokłonię.

Czystością prawdy, szlachetnością cnoty,
Brylant jaśnieje na słonecznym tronie.
Stal go nie złamie, ni czas go nie znęka,
W nim i wróżebna ukrywa się władza.
Jeżeli niegdyś, przyjacielska ręka
Dała ci brylant, a dzisiaj cię zdradza,
Choć jesteś własnéj nieświadom obrazy,
On ją przeczuje, i cichemi skazy,
Jak żywe serce od żalu się spęka.

Przy nim, z morskiego wyrwana odmętu,
Bieleje Perła, małżonka djamentu.
Król ją przed wieki, ku głazów podziwie,
Wybrał z innego królestwa przyrody.
W samotnéj muszli zamkniętą wstydliwie,
Dojrzał, pokochał pustelnicę wody —
I perła, strojna w biel gronostajową,
Choć rodu swego nie wiedzie z kamieni,
Choć jeszcze cała od wstydu się mieni,
W państwie klejnotów została królową.

VI.

Serce moje! Żadneż pęta,
Piór tęsknoty ci nie utną?
Taka świetność tu zaklęta!
Skarbów tyle! Tobie smutno?

Jak wysoki gród u brzega,
Pod widnokrąg schyla głowę,
Gdy go chyża łódź odbiega —
Tak i miasto klejnotowe,
Mierzchnie senném falowaniem,
Znika z oczu i z pamięci.
Nie obejrzę ja się za niém,
Już ta złuda mię nie nęci.

Duchu! Po co szukać dłużéj?
Dosyć błysków i omamień.
Gdzież najdroższy cel podróży?
Gdzie »filozofalny« kamień?
Duch uśmiechnął się tajemnie,
We mgle stanął nad otchłanią,
I pokazał: »Daléj! Za nią!«

Jeszcze daléj? Nie szydź ze mnie.
Jakże pchniemy pochód gończy?
Starcze, błądzisz. Wzrok cię myli.
Myśmy ziemię wskróś przeszyli,
Tu już próżnia. Świat się kończy.

* * *

Nieba, ratujcie! Globowe posady
Łamią się... w ciemną spadają głębinę...
Za dłoń mię chwyta Przewodnik mój blady.
Miałażbym skrzydła? Ulatam? Czy płynę?

W koło, wirują bezbrzeżne pokłady.
Lecz już nie kruszce to są, ni granity.
Pędem zwycięzkim wkraczamy po łupy,
W świat jakiś inny, zmysłom niezdobyty,
Stokroć bogatszy od ziemskiej skorupy.
To świat duchowy.

Budzę się zdziwiona.
Lekko mi nagle, jak temu co skona.
I oto bielmo z ócz moich opadło:
Cała ta ziemia, ta mnogość jej tworów,
Toż nic nie było, tylko czcze widziadło!
A ja niebaczna, w tym świecie pozorów,
Szukałam prawdy!

Jakże się rumienię!
Mogłażem sądzić, (o szczycie omyłki!)
By ten cudowny kamień nad kamienie,
Między marnemi ukrywał się pyłki?

On tu być musi.

Lecz gdzie? Znów zagadka!

. . . .

Znów szukać? Starcze, biorę cię za świadka,
Czy tu nie próżne już ludzkie wysiłki?
Po tysiąc razy, i po miljon razy,
Trudniéj przeliczyć duchowe okazy,
Niż skarby jednéj planetarnéj bryłki.

Tutaj widomie chociaż niewidzialnie,
Stoją bez granic i bez dna kopalnie,
Gdzie wszelka dusza składa swe roboty,
Marmury chwały, i krzemienie woli —
Tutaj poezja, w napierśnik swój złoty,
Wprawia lazury niebieskiéj tęsknoty —
Myśli błyskocą ziarenkami soli —
Kryształem kapią wszystkie łzy niedoli —
I wszystkich uczuć pałają klejnoty.

Stań Przewodniku! Żal mijać je zdala;
Tylko się schylić i brać pełną dłonią.
Lecz on, ni odbiedz ni stać nie pozwala,
Pędzi. Ja mdleję, znużona pogonią...
I znów podlatam, i biję się z męką.

Aż zwolnił biegu. Czy i on się nuży?
Nie, — tu już stanął, i wskazał mi ręką:
»Patrz! Oto jesteś u celu podróży.«
Patrzę: przed nami wyrasta opoka,
Szersza niż drogi stu słońc, tak szeroka,
Że okrąg świata podstawę jéj tworzy.
Na niéj, świątynia bez miar, tak wysoka,
Że sięga w blaskach wiekuistéj zorzy,
Aż do cherubów niosących tron boży.

Przewodnik dumną pochylił tu głowę.
Co się z nim dzieje? Te stopy głazowe,
Coraz olbrzyma podtrzymują słabiéj.

Zachwiał się... kłoni... i jakby złamana
Wichrem kolumna, runął na kolana.

Czém go ta skalna rozpadlina wabi,
Że się w jej wnętrze zapatrzył bez ruchu?
Podnosi oczy we łzach złagodniałe,
Wzywa mię ręką, wskazuje mi skałę.

Klękam. Spostrzegam!... Ach dzięki ci Duchu!
Tu kres pielgrzymce, i kres żądzy mojéj.
»Kamień wszech-prawdy« przedemną migoce.
Widzę go! Tykam! On leży w opoce,
Na któréj Kościół Chrystusowy stoi.

1853.

ODA DO SŁOWA.

Jakaż to siła cherubinowa,
Z ust się wydziera i w łonie pała?
Słowem wygłaszać potęgę słowa,
Podwójna dla pieśni chwała!

Myśl się rozbija w piersiach zamknięta,
Drży za jawności słońcem duchowém.
Brzękło okucie — zerwała pęta —
I brzęk ten w świat poszedł, słowem.

Co widzę? Przepaść... Noc chaosową,
W mętnych pierwiastków grze rozszalałą...
Popłoch... wir... nicość... — Aż padło słowo:
»Stań się!« I światło się stało.

W nieświadomości, jak śród chaosu,
Bezsilne dusze błądzą i gasną.
Mędrzec, to echo boskiego głosu,
Rzekł słowo, i w duszach jasno.

Płaczą cierpiący, drżą pokutnicy,
Już chcą pogrzebać nadzieję zmarłą.
Słowo, klucz Piotra, z nad kazalnicy
Błysło, i niebo rozwarło.

Sędziowie, w ciemną sprawę wpatrzeni,
Chwieją się. Cisza. Weszły Obrońce.
Ciskają słowa nakształt promieni,
I prawda wschodzi jak słońce.

Sejmują ludy. Wrzawa na ziemi,
Jakby od waśni ptasiego stada.
Mówca się orłem zerwał nad niemi,
I słowo władcami włada.

Wieszcz jest świątynią. On serce swoje,
W Panteonowe przemienił progi.
Otworzył usta niby podwoje,
Słowa z nich wyszły — jak bogi.

Jakto, jak bogi? Tak, bo wszechwładne —
Rozkazujące — wykonywane.
Każą się korzyć? Czołem w proch padnę,
Ufać? Jak Tytan powstanę.

Słowo, jak nowa laska Mojżesza,
Z kamiennych piersi zdrój łez wydziera.
Na chmurnych licach uśmiech rozwiesza.
Hartuje broń bohatera.

Tryumfie słowa! Gromady ludów
Idą za tobą jak jeńcy ducha.
Wyższy tryumfie! O cudzie cudów!
Sam Bóg cię słyszy — i słucha.

Grzesznik nie zniża hardego czoła;
Pan rękę podniósł, grom w niéj się płoni.
»Kyrie eleison!« grzesznik zawoła,
Grom gaśnie w ojcowskiéj dłoni.

Czémże, bez dźwięku co myśl obleka,
Byłaby ziemia? Czém... odgadniemy
Z pół-martwych rysów tego człowieka:
Jakiż on smutny! On niemy.

Były stulecia, gdy brana w pęta,
Myśl bez wyrazu, jak duch bez ciała,
Mędrcom straszliwa, tłumom odjęta,
W świątyniach kryć się musiała.

Aż gromadzona z wiekami siła,
Niby Agawa pękła z wystrzałem.
Epoka myśli kwiatem strzeliła,
I słowo stało się ciałem.

Odtąd, w rozpędzie gwarnych stuleci,
Epoka słowa gra pieśnią inną:
Już myśl grzmotami po globie leci,
I głosi co »być powinno«.

Cóż, kiedy słowa jako wiatr wieją,
A życie ludzkie kłóci się z niemi?
Epoko czynu, wielka nadziejo!
Kiedyż zaświtasz dla ziemi?

Gdy zapanuje sercu i głowie
Sumienie, prawdą bijące z łona,
Człowiek, co tylko pomyśli, powié —
Co tylko powié, wykona.

1854.

RZECZYWISTOŚĆ I WYOBRAŹNIA.

Jest puszcza. Straszna, niezgłębiona, dzika.
Synowie czasu »Życiem« ją nazwali.
W puszczy się rydwan olbrzymi przemyka,
Cały ukuty z kamienia i stali.

Śmiertelni, tłumem do wozu wprzężeni,
Ciągną go z jękiem i brzęczeniem oków.
Usta ich szemrzą jak tysiąc strumieni,
Pochód ich szumi jak tysiąc potoków.
Dzień i noc twardą popędzani drogą,
Nigdy, przenigdy wrócić się nie mogą,
Bo na rydwanie, z ponurém obliczem,
Stoi władczyni. Konieczność jéj biczem.
Świat się ugina, gdy swemi koturny
Z ołowiu, depce kolebki i urny —
A napis: »Jestem!« w piorunną ognistość
Na jéj żelaznym wyiskrzon djademie,
Czerwoną łuną opłomienia ziemię.
Jakże na imię monarchini chmurnéj?
Na imię jéj: Rzeczywistość.

. . . .

Okrutnie wiezie, ale i uczenie.
Staje. Świadoma gdzie kres ludzkiej sile,
Jeńców kolejno wyprzęga na chwilę,
I daje krótkie, (zbyt krótkie!) wytchnienie.

O wy, skrwawieni przez jarzmo życiowe,
Złudnie puszczeni jako ptak na nici,
Zanim was ptasznik ponownie pochwyci,
Gdzież unużoną położycie głowę?

* *
*

Jest las. Ze wszystkich najsędziwszy lasów.
Sięga tych samych co ród ludzki czasów.
Tak się téż zrosła jego drzew opoka,
Że słońce prawdy nie wchyla tam oka.
Tak słodkie zioła i jedwabne liście,
Z dziewiczych mroków pachną nieskażenie,
Że w owym gąszczu zaklęte wieczyście,
Błąka się dotąd echo po Edenie.
Tym lasem cóż jest? Marzenie.

. . . .

Śród krzów, różowym przesiąkłych kolorem,
Brzask wieczny świta, cichą głąb' odsłania,
I najpyszniejszy z dzieł zaczarowania,
Nad roztrzęsionem w brylanty jeziorem,
Stawiany z wiotkich skrzydełek motyla,

Świetlnym przykryty w pół-krąg meteorem,
Pałac zaklęty ze mgły się wychyla.

Ztamtąd panuje nad wieki wszystkiemi,
Najpotężniejsza z czarodziejek ziemi.
Lata z jéj lica nie zwiewają wdzięku.
Płaszcz jéj się mieni jakby zachód słońca.
Wszystkie sny, kraśno zwinięte w jéj ręku,
Tworzą laseczkę z płomykiem u końca.

Do niéj się Młodość przygarnia radosna,
Słodka Nadzieja z nią się zaprzyjaźnia,
U niéj Poezja tęczuje swe krosna.
Któż wróżką tą? Wyobraźnia.

* *
*

Tam jeńcy krótkiéj szukają swobody.
Steczką, przy marzeń złotolistnym szmerze,
Las ich prowadzi pod zamkowe wieże.
Stają zdumieni nad okręgiem wody,
Rozbryzgującéj perły i djamenty.
Przechodzą tęczę niby most wygięty.
Na drugim brzegu... Nie myląż ich oczy?
Ach nie, to wróżka! Rozbujana miękko
W huśtawce, witéj ze pstrych kwiatów maku,
Zbrojną w laseczkę przyzywa ich ręką,
I na powietrzu kréśli znak po znaku.

»O, koicielko łez!« — wołają do niéj —
»Pociesz nas! Pokrzep, nim tamta dogoni!«

Skinęła głową, i naprzeciw siebie,
Na sennych kwiatach wskazała siedzenie.
Już się huśtają. Na poły są w niebie.
Hej wyżéj! Wyżéj!... O tak!... Nieskończenie!...
Raz niech się dowié o skrzydłach swych dusza!
Niech pozna zawrót co bóle zagłusza.

Już skroń im cięży snem ukołysania.
Wróżka nieznacznie przycisza wahadło,
Laską dotyka ich ócz, i odsłania,
Największe w świecie magiczne źwierciadło.

Spojrzeli. Uśmiech osiada ich twarze.
Czego kto pragnie, to kryształ pokaże.
Skarby, co nigdy nie giną, — sumienia,
Co nigdy drogą nie zdążają błędną, —
Serca, gdzie stałość nigdy się nie zmienia, —
Róże i laury, co nigdy nie więdną, —
I wszystko, wszystko, co wzór doskonały
Wyraża, widzą w głębinach źwierciadła,
I świat-by dali za owe kryształy,
Bo wywołane przez wróżkę widziadła,
To Ideały.

. . . .

Ale zaledwie w zachwycie utoną,
Już ich rozbudza grom... Od gniewu blada,

Na sny i kwiaty Rzeczywistość spada,
Chwyta struchlałych ręką zamrożoną,
I znowu muszą, bezdrożem ciernistém,
Wlec się schyleni pod biczowym świstem.

* *
*

To téż są tacy, (tych może najwięcéj!)
Którzy już niechcą i chwili ułudy.
Po co? By tęsknić po stokroć goręcéj,
Gdy przyjdzie wrócić na codzienne trudy?

Ci, choć uczują zwolnienie łańcucha,
Nie uciekają do pałaców ducha.
Cisną się dwornie u boku władczyni.
Może pokłonem wyżebrzą co przy niéj?
W twarz jéj wlepili oczy niewolnicze.
Mądrzy! Tyranka, pochlebstwem ujęta,
Dla nich jedwabiem okręca swe bicze,
Dla nich na dłużéj rozwiązuje pęta.

Lecz hańba duszy, co się tak wyłamie,
Z pod ogólnego boleści wymiaru.
Każde, od wozu wycofane ramię,
Zostałéj braci przymnaża ciężaru.

Stóp nie zakrwawią, ziemi kochankowie!
Ale i skrzydeł zwiniętych w człowieku,
Nie wzniosą, płazy! Jak Pismo ich zowie,
To »Dzieci wieku«.

* *
*

Inni, ubitą pogardzają drogą.
Skorzy do skargi, bogaci w pogróżki,
Ilekroć, jawnie czy tajemnie, mogą
Wymknąć się z jarzma, ach, są już u wróżki!

Patrzą w źwierciadło, wzrok ich się zapala.
Swéj dręczycielce urągają zdala.
Bunt! Rozhuśtani szaleńczą nadzieją,
»Źle« krzyczą »poszły minione stulecia!
»Gdzie wóz? My nową go pchniemy koleją!«
Lecz gdy z sennego podniosą się kwiecia,
Ledwie ich dotknie Rzeczywistość, mdleją.
Braciom przeszkodni, śród krzywych zahaczeń,
Targają rydwan, rwą lejce przeznaczeń,
Aż ich władczyni pod kołem uściele.
To Marzyciele.

* *
*

Oba zastępy spóźniają bieg losów,
Równo grzeszące grzechy przeciwnemi:
Jeden, że niechce niebiosów,
A drugi, że niechce ziemi.

* *
*

Są jeszcze inni. (Jakże ich niewielu!)
Kiedy wóz porwą z bohaterską siłą,
Rzesza odetchnie, i w głośném weselu

Poczuje nagłe zbliżenie do celu,
Jakby w dwójnasób ciągnących przybyło.

I ci do wróżki chodzą po marzenie,
Lecz na kwiecistéj nie usną huśtawce;
Rwą kwiat cudowny, i niepostrzeżenie
Klejnoty łowią w zaklętéj sadzawce.

A gdy z powrotem staną przy rydwanie,
Sypią a sypią te perły i kwiaty
Na Rzeczywistość, aż i ona z szaty,
Do Wyobraźni podobną się stanie.
I boską iskrę co w serce im padła,
Od niebiańskiego skrzesana źwierciadła,
Na jéj żelazném rozniecają czole,
Aż się i ona zwieńczy w aureolę.
I śpiew Edeński uniesion w pamięci,
Nieustającém powtarzają echem,
Aż i jéj usta zabłysną uśmiechem.
Tacy, to Wielcy i Święci.

1854.

PIERWSZY WIDOK MORZA.

I.

Próżno mię chcą sidlące opleść winogrady,
Próżno drogę zachodzą gotyckie arkady,
Nie wstrzymacie mię dłużéj, Teutońskie kraje.
Spieszno mi. Czytam napis na każdém rozdrożu,
I pędzę. Niechcę ziemi. Ja marzę o morzu.

Już bliskie. Niespokojna pod Hamburgiem staję.
Elba srebrnym gościńcem do nóg mi podchodzi,
I oto z pośród stada żaglopiórych łodzi,
Wylatasz, nawo moja, parą uskrzydlona!

Krajobraz iść zaczyna. Masztami wysoka,
Niby las, już się w tyle obniża zatoka.
Jak biały sen mignęła u brzegów Altona,
Z pod wonnych lip zabłysnął grobowiec Klop-
[sztoka.

Lecą godziny. Rzeka rozpręża ramiona,
Zda się że wód ogromu już w nich nie utrzyma.

Fala stanęła dęba, jak rumak spieniona.
Statek się zakołysał. Słyszę ryk olbrzyma.

Jeszcze za nami Elba, na rozbitém łożu
Kona, z rękoma brzegów rozkrzyżowanemi,
Lecz przed nami już nigdzie, ani skrawka ziemi.
Dwie półkule światłości. Ach, jestem na morzu!

Ty, co w bursztynowych grodach,
I koralowych ogrodach,
Rozrzucasz płynne djamenty,
Dla złotołuskich twych ludów —
O ty, na którego wodach
Spoczął sam Duch Święty —
Oceanie! Któż zgłębił przepastność twych cudów?

Kto pierwszy raz cię ujrzy, kto dopatrzy na dnie,
Odbite dzieje globu i duszy swéj dzieje,
Przed ogromem stworzenia ze czci oniemieje,
Porówna je ze Stwórcą, i na klęczki padnie.

Przemienna gra twych bałwanów,
I w sercu ludzkiém zmienny dramat wrażeń budzi.
W czarnéj godzinie orkanów,
Masz niezbłagalność żywiołów,
Srogość szatanów,
Zdradliwość ludzi —
W pogodę, masz błękitne spojrzenie aniołów.

II.

Zkąd ta ciemność? Myślową pochłonięta burzą,
Nie dostrzegłam jak za mną lazury się chmurzą.
Dreszcz przeczucia zielone piersi wód podrywa.
Jeszcze cicho. Lecz baczmy! Cisza to fałszywa,
Jako milczenie mściwego człowieka,
Co milczéć umié — bo czeka.

Żółta chmura nadpełzła. Dziwi się, że fala
Śmié szemrać, i zdejmować rysunek jéj lica?
Żądza walki jéj rude wnętrzności pochwyca.
Gniew ją zapala —
To błyskawica.

Podniósł się obłok czarny jak rycerz ponury.
Przyjął wyzwanie, porwał elektryczny grot,
Cisnął go w pierś rudéj chmury —
Grzmot.

Chmura, śmiertelnie przebita,
Runęła jakby niebios oberwany łom.
Słania się blada,
Krwawemi dłońmi krawędź widnokręgu chwyta.
Chmura umiera! Lecz umrze z potęgą.

Dusza ucieka z niéj, spada,
Lecz spada ognistą wstęgą —
Grom!

Strumień krwi białéj, przezroczéj,
Jak soki ściętego drzewa,
Z rany się toczy...
Ulewa.

I chór żałosny rozległ się po niebie.
To bracia wichry, nikłe jak nadzieja,
Płaczą na chmury pogrzebie —
Zawieja.

Wraca szczęk. Wstały chmury zabitéj mściciele.
Pędzą, gonią, szukają gdzie obłok morderca?
Piorun na piorun. Chmura chmurę ściele.
Ogniste sobie wydzierają serca.
Niebo za bary z morzem w jeden wir się nurza.
Wszystkich żywiołów porwały się bogi,
I wszystkie wszystkim są wrogi —
Burza.

Z pośród nich, widmo jeszcze ponursze i krwa-
Wstało. Poznaję: to on, [wsze,
Rzadko widzialny a grożący zawsze —
Skon.

III.

O ster oparta, stałam urągając burzy,
Lecz w duszy mojéj było jak na niebie czarno.
Sterniku! Czy twa praca nie zostanie marną?
Twe zmarszczone oblicze złe losy nam wróży.

O morze, czyżbyś miało być obrazem życia,
Gdzie garstka podróżników uczepia się deski,
Szuka brzegu, i wzywa pomocy niebieskiéj,
Aby skończyć rozpacznie w męczarniach rozbicia?

Co to jest? O... tam... Światłość! Maleńka, da-
[leka —
Oko moje miłośnie do niéj się przygarnia.
Zniknęła, i znów błyska. Mruga jak powieka.
To Cuxhaven! To przystań, i morska Latarnia!

Odżyło serce moje. Myśl się rozpromienia.
Jest więc gdzieś żywa dusza co się o nas lęka,
Chociaż my jéj nie znamy. Jest życzliwa ręka,
Co nad otchłanią trzyma lampę ocalenia.

Na statku zgiełk. Podróżni nabierają ducha,
Wesoło wiążą płaszcze. Dowódca załogi,
Winszuje nam i sobie bezprzygodnéj drogi.
Już słyszę kotwicznego zgrzytanie łańcucha.

Nim przystąpię do kładki co mię wiąże z brzegiem,
Zwróciłam jeszcze oczy na mdlejące wały.
Jakimże się tu marnym rozpryskują śniegiem!
Tak i moje zwątpienia na pył się rozwiały.

Nie! Życie to nie próżna ślepych sił męczarnia,
Gdzie rozbitki o deskę biją się zawiśnie.
Wiaro! Ty nam przyświecasz jak morska latarnia,
W któréj Opatrzne Oko, co zniknie, to błyśnie.

Każda fala swą boleść przynosi z kolei.
Do brzegów, co widziały początek żeglugi,
Nikt nie wróci. Lecz płyńmy! Ach, jest i brzeg
[drugi,
Tam zatkniemy kotwicę spełnionéj nadziei.

1854.



GÓRY.

Co się wznosi, to cześć budzi.
Świętość, geniusz pośród ludzi —
A pośród natury,
Góry.

. . . .

Panie świata! Ziemia nasza,
Czołem bije na Twém niebie,
Za człowieka Cię przeprasza,
Za swém dzieckiem błaga Ciebie.
Wpół miłosna, wpół wylękła,
Morską falą załzawiona,
Dolinami swemi klękła,
Góry wzniosła jak ramiona,
I dopóty skamieniała,
Będzie ręce wyciągała,
Aż przyciśniesz ją do łona.

. . . .

W górach leży tajemnica.
— Czy prostaczka czy badacza,
Wiecznie zwabia i zachwyca,
I przeraża i przytłacza,
Głębią piersi niezbadaną,
Falującą krasą lica,
I zalotną szat przemianą —
Czarodziejka! Czarownica!

. . . .

Giętka struno mojéj liry,
Zmień się w pędzel! Niech odtworzy,
Ten stubarwny, ten stuwiry,
Kalejdoskop ręki bożéj.

Dziwy! Cuda! Ów lodowiec,
Czyż nie jasny to puginał?
Porozdzierał chmur pokrowiec,
Węże gromu poprzerzynał.

Ówdzie, szczyty ciągną chórem,
Jakby mnichy, co na głowy,
Nasunęły bór świerkowy.
Słychać szepty pod kapturem.

Drugie trawą się oprzędły,
Stoją prosto jak wrzeciono.
Inne zgięły kark wywiędły,
I jak smoki ogniem zioną.

Tu Rusałka z twarzą bladą,
Wziąwszy srebrnych strzał naręcze,
W szklannym domku pod kaskadą,
Z żywéj skały krzesze tęcze.

Niżéj, głazom pękły grzbiety.
Ześliźnięte z wodnych torów,
Świecą w polu, jak szkielety
Przeddziejowych dziwotworów.

Tam gwiżdżący, wichrowaty
Słup, wyskoczył z nad urwiska —
Jak rozbójnik zszedł na czaty,
I grożącą pięść zaciska.

Bliżéj góra pulchno-łona,
Przekomarza mu się echem.
Nad jeziorem rozciągniona,
Kąpie stopy, i z uśmiechem,
Jak Bachantka się opina,
W krętowłose kiście wina.

. . . .

Precz mi z lirą! Słowo niczém,
Przed królewskiém gór obliczem,
Przed magicznym gór zawrotem.
Choćby śpiewak piórem złotém,
Piórem orlém czy słowiczém,

Brał z ich lica wierne wzory,
I pozgarniał ich kolory,
I zdjął zarys ich budowy,
Płonna praca! Czyż wyczyta,
Jaka w barwach myśl ukryta?
Jaki kształtów cel duchowy?

O najstarsze globu córy,
Odezwijcie mi się, góry!
Gdy milczącéj znaków mowy
Serce moje nie rozumie,
Wy mi same, w drzew szeleście,
Łomów huku, zdrojów szumie,
Wyśpiewajcie, czém jesteście?

GŁOS OD GÓR.

Świat wasz, ziemianie, kołuje w przestrzeni,
Jak wieczny Farys pędzon niepokojem.
A my jesteśmy, uwitym z kamieni,
Świata zawojem.

* * *

Ziemia jest piękną słońca narzeczoną.
Ziemia jest pyszną xiężyca królową.
Jesteśmy ziemi obrączką godową —
Ziemi koroną.

* * *

Rankiem, gdy jeszcze pomroczna żałoba
Leży w parowach, u naszego szczytu
Już dzień się złoci. Jesteśmy co doba,
Pierwiosnkiem świtu.

* *
*

Gdy słońce rzuca godziny za siebie,
Nasz cień je liczy, i wiernym wymiarem
Pisze. Jesteśmy, przybitym na niebie,
Dolin zegarem.

* *
*

Gdy król światłości odchodzi od ziemi,
My jeszcze, rzędem zawisłe u końca
Jego szkarłatów, jesteśmy kraśnemi,
Paziami słońca.

* *
*

Wszystkie w przelocie chmury smętnolice,
Mgławą nad nami wypłakują pianę.
Świecimy szkliście, jak wiecznie zwilżane,
Niebios łzawnice.

* *
*

Gdy łza się zetnie, lawiną wyleci.
A my tę piłkę, na wylękłą niwę

Rzucamy, niby w igraszkach straszliwe,
Olbrzymie dzieci.

* *
*

O wędrujący przez nasze bezdroża,
Biada ci, jeśli przechodzisz w téj dobie!
Żywego, letarg śniegowy pochłania,
I w oceanach błękitnych przestworza,
Nasze bezludne wierzchołki, są tobie
Wyspą konania.

* *
*

Lecz jeśli w mroźném czuwający niebie,
Zbawcy Gotardu zestąpią do ciebie,
Jeśli z miłością nad łożem schyleni,
W sercu się twojém dopukają bicia,
Będziemy tobie w pustyniach przestrzeni,
Oazą życia.

* *
*

Już wiosna ziemię wyłamawszy z oków,
U bark nam szklanne rozpuszcza warkocze
Tających lodów i dżdżystych obłoków.
Teraz szemrzemy, tęczowo-przezrocze,
Matki potoków.

* *
*

Gdy w nasze igły i drążone skały,
Miechami zadmą letnie huragany,
Poznasz w ich graniu, słuchaczu zdumiały,
Boskie organy.

* *
*

Jeśli usłyszysz jak w górnym obozie,
Skrzydło ze skrzydłem ściera się gwałtownie,
Wiedz, że tam wiszą na piorunnéj grozie,
Orłów warownie.

* *
*

Czasem i ludzkim zapałem skrzydlata
Walka, nad naszym zawichrzy się szczytem.
Kahlenberg widział, jak wyrok dla świata,
Bohatér rzucał na żelazne wagi.
Jesteśmy, w szumne trofea spowitém,
Czołem odwagi.

* *
*

Ale i cichszéj szukające chwały,
Stęsknione dusze, nieraz uciekały
Za niedostępne twierdz naszych okopy.

Czy te widziałaś bazaltowe stropy,
Gdzie się zielona zataczając fala,
Szeleści imię Fingala?

Czy te słyszałaś echa Pauzylippy,
Co powtarzają przekleństwo Dydony?

Czy wiosłem cięłaś różowe polipy
Ciepłego morza, co bije pokłony,
Pali fosfory, i perły roztrzęsa,
Pod śpiewającą grotą Kamoensa?

Gdy przyrodzenie wykowa pieczarę,
I górska wróżka zamieszka w jéj skrytce,
Gdy porozwiesza gobeliny stare,
Tkane z porostów o wyblakłéj nitce,
Mchami wyściele łoże z axamitu,
Świecznik uleje ze szkieł stalaktytu,
Wejście bluszczowym zakratuje splotem,
I wszystkie blaski wstydliwie przymruży,
Jesteśmy sennym, broniącym od burzy,
Marzeń namiotem.

* * *

Ale nie zawsze Spokój się zamyka,
W eremie skalistéj wieży.
Uchodź, jeżeli zamiast pustelnika,
Straszliwe Gwebrów bożyszcze,
Pełga i świszcze,
Przez czarne usta żuzlowych wybrzeży.
Uchodź, — bo czyś ty widziała,
W jakim całunie Herkulanum leży?

Jakim szczyt Andów fajerwerkiem pała?
Czyś ty widziała, w jaki sztandar krwawy,
Hekla się zwija nad Eddą ponurą?

Gdy wulkanowy nas gniew rozpłomienia,
Jesteśmy twardym, zbryzganym krwią lawy,
Zwieńczonym w ogniste pióro,
Hełmem Zniszczenia.

* *
*

Był czas, gdy cały w ukropie rozbryzły,
Glob ziemski huczał dymiącemi kotły.
Ogień i Woda rwały się i gryzły,
Ziemia z Powietrzem darły się i gniotły.
Aż Ład przydławił tytaniczną pychę.
Szkielety lądów opadły bez siły,
A my nad niemi stoimy, jak ciche,
Wieków mogiły.

* *
*

Dziś Genjusz ziemi już wpół osiwiały,
Ze swéj młodości uśmiecha się dzikiéj.
Nasze pokłady zeszył jak foljały,
I na nich spisał swoje pamiętniki,
Swe gry okrutne i namiętne szały.

A człowiek patrzy, — niekiedy podchwyca
Groźny urywek z powieści rodzica,

I wdzięcznie, spokój dni nowych ocenia.
Leżymy w stosach, jak tysiączno-karte,
Dla rzesz zamknięte, dla mędrców otwarte,
Xięgi stworzenia.

* *
*

Nietylko mędrzec zaziera w głąb' naszą,
Zajrzał i górnik o lampce znikoméj.
Próżno ją psotne zadmuchują Gnomy,
Próżno cudaczne Koboldy go straszą,
Srogi zdobywca idzie przez wyłomy,
Pruje nam żyły, wysysa nam ranę,
Zdziera klejnoty co pierś nam zasuły.

W nas leżą ciężkie, w nas niewyczerpane,
Ludów szkatuły.

* *
*

Dary naszemi szczodrze bogacona
Dzicz, z barbarzyńskiéj ciemnoty wyrasta.
Patrz, już pożywne uprawia nasiona,
Zakłada wioski, wydźwiguje miasta.
Wyżéj, stolice w królewskiéj purpurze
Zasiadły, — każda na osobnéj górze.

Dawid usławszy swój płaszcz byssusowy,
Czyni z Syjonu podnóżek Jehowy.

Romul wylęgły w siedmioszczytném polu,
Więzy trzem lądom rzuca z Kapitolu.

Watykan wyżéj, nad granice świata,
Podnosi czoło koronne trójgwiazdą.

Z Lechowéj góry srebrny ptak wylata,
I złote wije na Wawelu gniazdo.

My budujemy z podobłocznych grodów,
Trony narodów.

* * *

Ledwie od nizin ujarzmionéj ziemi
Dusze się wzniosły, już wschodzi nad niemi
Góra Poezji. — Dwa szczyty Parnasu,
Śpiewają chwałę wieczności i czasu.
Na stokach pląsa biała Muz gromada,
Elegją płacze Kastalska Najada,
W sielskie organki dmą bogowie leśni,
I boska miłość Apolla się zmienia
Na laur. — Jesteśmy w świątyni Natchnienia,
Trójnogiem Pieśni.

* * *

Pieśń! To szczyt ducha. Skrzydlata klucznica,
Uchylająca niebieskich podwoi,
Szczęsnych zachwyca —
Cierpiących koi.

Przecież, jeżeli są smutni, tak smutni,
Że im nie ulży nawet urok lutni,
Ci, zabłąkani w noce xiężycowe,
Na łonie naszém niech położą głowę.
Bliźsi błękitów, może śród błękitów,
Anielskie dojrzą uśmiechy?

W bezgłębnym smutku, gdzież nawet Syn boski
Mówił z aniołem? U Oliwnych szczytów.

Skłoń się. Jesteśmy w kościele Pociechy,
Klęcznikiem Troski.

* *
*

Są, którzy gnani przez boleść i trwogę,
W góry uciekli, lecz zmylili drogę,
I zamiast klęknąć tam, gdzie archanieli,
W gorzkim kielichu podają zbawienie,
Z Mefistofelem stanęli,
Na łysoszczytnym Brockenie.

Moc tam nieczysta roztacza swe czary.
Próchnem goreje Armidowy dworzec —
Pędzą rotami dziwokształtne mary —
Krwawy cyrograf chrzęści jak proporzec.
Blade wietrznice z ognikiem u czoła,
Tańcem okrętnym związują wędrowca,
I mdło-zawrotne podając mu zioła,
Pędzą ne ciemne rozkosze manowca.

Dla takich, nasze zaklęte ogrody,
Z lekka po ślizkiéj zesunięte łące,
Mkną jak jedwabne, lecz w otchłań wiodące,
Do piekła schody.

* *
*

Ale spojrz wyżéj! Gdy na Jasnéj górze,
Kordecki czuwa jak sternik u łodzi,
I zażegnywa rozszalałą burzę,
Zkąd »Gwiazda morza« nad zatoką wschodzi —

Kiedy Ignacy, rozerwawszy krwawy
Swój pas rycerski, w jaskini Manrezu,
Pisze dla bożych rycerzów ustawy,
I woła: »Wodzem, Ty bądź nam, o Jezu!« —

Kiedy nad góry Alwerneńskiéj łonem,
(W dzień Męki Pańskiéj cudownie rozpadłem,)
Frańciszek, z licem na wskróś prześwietlonėm,
Pomiędzy ziemią a wyższemi światy
Rozkołysany miłosném wahadłem,
Pięcio-promienne przejmuje stygmaty,
I Chrystusowém staje się źwierciadłem —

Kiedy Benedykt, u ciemnego brzega
Burzliwych wieków staje, i zażega
Daleko-widną latarnię Kassynu,
Gmach przypruszony śniegiem pargaminu,

Gdzie mnichy zgięte pod kapicą szarą,
Na tłach z lazuru i puszkach karminu,
Alfabet wiedzy wyzłacają wiarą —

Gdy pod Mojżeszem łamie się kolano...
Twarzą przypadłszy o twarde Sinai,
Czeka pod gromem, aż Bóg sam zagai
Mowę do ludzi, w granicie kowaną —

Gdy rzesza, głodna i pociech łakoma,
Siada na górze Galilejskiéj rano,
A wieczór wstaje przesyta, ośmioma
Błogosławieństwy i pięciorgiem chleba —

Gdy na Taborze, kryształowo-ciałe
Widzenie, przyszłą wyjawia nam chwałę —

Korz się, — tworzymy strome lecz wspaniałe,
Stopnie do nieba.

* * *

Są téż i dziwne między nami szczyty,
Których na mappie nie znajdą uczeni.
Obraz ich, wiecznie mgłami upowity,
Sięga nad zakres czasu i przestrzeni.

Jednak niekiedy, czysty duch niewieści,
Lub mąż nad wszelką wywyższony trwogę,

Odnajdzie do nich zatraconą drogę,
A wtedy dziwne rozchodzą się wieści.

Oto Ezechjel wzlatuje, nad czarną
Przepaścią ziemskich oparów i dymów.
Stanął. Tam prosto, pod gwiazdą polarną,
Góra Kaf świeci, »Góra Elohimów«.
Ach, wszak to Eden, ów ogród zaklęty?
Spojrzał i westchnął. Daremne przynęty!
W krąg stoją mury z ognistych kamieni,
Twarde jak brylant, żarzące jak rubin.
Brama otwarta, lecz pełna płomieni;
Z miecza i z oczu je miota Cherubin.
Czasem, przez iskry pokaże się łąka,
Rozkoszna kwieciem, i »Drzewo Żywota«,
Błyśnie owocem jaśniejszym od złota.
Po kwiatach, postać sędziwa się błąka;
To Enoch, świadek złych dni najcnotliwszy,
Co umiał z Panem pozostać w przyjaźni.
Sam Pan go niegdyś, płaszczem zasłoniwszy,
Z przedpotopowéj uprowadził kaźni,
I raj do czasu dał przyjacielowi.
Lecz skoro ziemia obumierać pocznie,
Do ludzi gorszych niż przedpotopowi,
Każe mu wrócić, i świadczyć naocznie,
Jak Pan cierpliwy, gdy na pokajanie
Dzień po dniu czeka, zwłóczy wiek za wiekiem,
A jak straszliwy, gdy w gromach powstanie,
I zmierzy się — Bóg z człowiekiem.

Ówdzie, Rycerze »okrągłego stołu«,
Zakuci w łuskę, pod wodzą Artusa,
Ruszają z głębin łzawego padołu,
Aby odnaleźć tajną Krew Chrystusa.
Arymatejczyk, z przebitego Boku
Zabrał ją niegdyś, i wszelkiemu oku
Daleko ukrył na »Górze Salvatu«.
Stoi tam, skrzepła, w roztruchanie »Gralu«,
I będzie póty niewidzialna światu,
Aż ją roztopią łzy ludzkiego żalu.

Tu, — Katarzyna Emmerich, przejrzysta
Sybilla krzyża, po drodze z obłoków,
Idzie za wizją na »Górę Proroków«,
Gdzie złotowłosy Jan Ewangelista,
Oblany słońcem co nigdy nie blednie,
Pod rajską palmą leży pochylony,
Przerzuca xięgi przyszłe i poprzednie,
Rozważa wszystkich narodów zakony,
I porównywa wszystkie przepowiednie.

Gdy tak z doczesnych wypłyniemy ciemnic,
Gdy białe stopy Extazy nas trącą,
Jesteśmy świetlną, w pół nieba wiszącą,
Arką tajemnic.

*
* *

Ach iluż Świętych i Niebian postacie,
U szczytów naszych w zachwyceniu klęczą!

Widzisz ofiarny dym na Araracie?
Tam ojciec plemion wschodzi w majestacie.
Struchlałe Morza u stóp jego jęczą;
A pojednane po długim rozbracie,
Niebo i Ziemia całują się tęczą.

Słyszysz ten szelest co porze lazury,
Jak przefrunięcie gołębiego stada?
To poseł z nieba brylantowo-póry,
Na górę Moria błyskawicą spada,
By nad dziecięciem schyloném bez lęku,
W Abrahamowém nóż powstrzymać ręku.

Czy tylko takie witałyśmy posły?
Wyżéj nas jeszcze niebiosa wyniosły!
Patrz: oto srebrny w obłoku rysunek,
Schodzi na Karmel. Ach to wizerunek
Matki-Dziewicy, ach to Ona żywa,
Przed płonącemi oczami Eljasza,
Proroczym szkicem po niebie przepływa,
I w opalową się rosę rozprasza.

Wyżéj! »Excelsior!« Zadrżyjcie przepaście!
Słońce i xiężyc, mdłe lica przygaście!
Oto pod niebios otworzone wrota,
Szkarłatną drogą wystrzela Golgota.
Najwyższe szczyty nizinami przy niéj.
Góra nad góry — globu monarchini —

Pan ją w cierniowy djademat oplata.
Klęknij, miłością i cześcią struchłała:
Z nas, nieśmiertelna ręka wyciosała,
Ołtarze świata.

1854.

ŚWIĄTYNIA WSPOMNIENIA.

URYWEK.

. . . .
. . . .
. . . .

Tęskniąc za bladym przeszłości aniołem,
Co skrzydłem dzieje ocienia,
Z bijącém sercem, z pochyloném czołem,
Szłam do świątyni wspomnienia.

Na drzwiach, rzezanych z drzewa oliwnego,
Śmierć swe »A-Dio!« wyryła.
Tajemne mity jak sfinxy ich strzegą,
A miękkim progiem — mogiła.

. . . .

Za miękkim progiem, przyklękłam od cześci,
Pierś oniemiała od lęku.
W głębi świątyni, w postawie boleści,
Różaniec lat mierząc w ręku,

Anioł przeszłości, z twarzą — zasłoniętą
Srebrzystą podań tkaniną —
Wiecznie odmawia ostatnie Memento,
Nad plemionami co giną.

. . . .

U kolan jego bezładnie rzucone,
Leżą zdobycze stuleci.
Stopa złamaną potrąca koronę —
Tuż obok, rdzawy miecz świeci.

Gdzie spojrzę, miecze! Istny grad morderczy.
Strzały, i kule, i proce.
Ledwo gdzie-nie-gdzie ząb lemiesza sterczy,
Lub szkło badacza migoce.

Te łysnął brylant, może niegdyś wpięty
We włos piękności wesołéj?
Ach, a ta urna? Droższa niż djamenty!
W niéj, bohaterów popioły.

Plączą się wieńce, i flety, i dzbany,
Przebrzmiałych rozkoszy świadki.
Śmieją się cicho, w mowie zapomnianéj,
Xiąg bezkluczowych zagadki.

Walą się słupy, które śmiertelnicy,
Wznoszą na »wieczną« pamiątkę.

Fruwają z wiatrem świstki tajemnicy,
Których czas rozdarł pieczątkę.

Widzę i zżółkłą prawodawców kartę;
Wieki ją ryją, dzień maże.
W głębi, czernieją — zniszczone — odarte —
Znikłych religji ołtarze.

Na stopniach wiszą strzaskane bożyszcza,
Znaki wszech-wiar i nadziei.
Od dziejowego przetrawione zgliszcza,
Wszystkie runęły z kolei.

. . . .

Jeden, jedyny w gruzach się nie ściele.
Nic, tylko lekkie dwie kréski,
A jasno od nich po całym kościele:
Krzyż ze światłości niebieskiéj.

Wisi w powietrzu, jak czas niechwytliwy,
Wiecznością wskróś przekréślony.
Orszak pokoleń składa mu podziwy,
I swych sztandarów pokłony.

. . . .

Co tu sztandarów! Świątyniowe mury,
Znikają za ich gęstwiną.

Zdarte jedwabie, zbutwiałe purpury,
    Od stropów płyną a płyną.

W nich, rzędem godeł, jak hieroglifami,
    Wyszyte roczniki świata.
Gdzie-nie-gdzie jeszcze zsiadła krew je plami,
    Lub zeschły wawrzyn oplata.

Szum który szepce: »Ach patrz, i ja żyłem!«
    Brzmi w proporcowym tym lesie.
A każdy powiew, z opleśniałym pyłem,
    Jakąś woń grobów mi niesie.

. . . .
. . . .
. . . .

Długo me serce, z malownych tych wzorów,
    Czytało tajniki dziejów.
Aż unużona zblakłością kolorów,
    I nietrwałością trofejów,
Podniosłam oczy. Chciałam zapytaniem,
    Przebić sklepienie kościoła.
Tło jego czarne jak noc, ale na niém
    Drżą złote iskry i koła.

To gwiazdy chwały. Płomień, co się pali
    Dzieciom natchnienia na czole,
Nimbus walecznych co za kraj skonali,
    I świętych głów aureole,

Zszedłszy z burzliwych widnokręgów życia,
Wschodzą na niebie wspomnienia.
Jedne, przemigną światełkiem odbicia —
W innych, czas blasku nie zmienia.

A żywy, patrzy na świetlne zjawiska,
I zcicha tym pozazdrości,
Dla których, nawet już ziemia, połyska
Promieniem nieśmiertelności.

. . . .
. . . .
. . . .

1856.

ŻYCIE.

Jest słowo, — tajemnicze jest pałac zaklęty,
Olśniewające blaskiem jak świętość ołtarza,
Powikłane, jak węża nieuchwytne skręty,
Okropne, jak sen zbrodniarza —

Potężne jak zaklęcie w ustach czarodzieja,
Ścięte na drodze myśli jak skalne nrwisko,
Niezgłębione jak rozpacz, wabne jak nadzieja,
Chwiejne, jak śpiew nad kołyską —

Dzień w dzień rozraniające, i gojące ranę —
Ryte na dnie pogardy lub na chwały szczycie,
Badane jak przyroda — jak Bóg niezbadane —
Tém słowem nad słowa: życie.

1859.

HYMN DO NADZIEI.

Gdy człowiek piorunów i jęków drżąc słucha,
Ty jedna radosną rozbudzasz go nutą.
Wśród ciężkich walk miecza, wśród cięższych
[walk ducha,
Podajesz mu tarczę szmaragdem okutą.
Gdy ludy konają, żywioły szaleją,
Gdy złote stolice zmieniają sie w puszcze,
Ty jedna, zwaliska opinasz w swe bluszcze,
Najświętsza nadziejo!

Kołysze się dziecię jak motyl na kłosach.
A ojciec mu życzy korony mocarzy,
Lub kluczów mądrości. A matka dlań marzy,
Mirt szczęścia na ziemi, lub palmę w niebiosach.
I siostry je pieszczą, i starcy mu wróżą.
Co z wróżb tych się ziści? Ach, losy się chwieją,
I chwiejesz się z niemi, jak łódka przed burzą,
Kolébko nadziejo!

Dłoń Maja, w pierwiosnki kolebkę oplata,
I Troska zamyka lodowe swe bramy.
Pacholę w pierś pełną twe pije balsamy,
I starzec wspomina fjołkowe swe lata.
I więzień przez kraty twą wonią się pieści.
Poeta i słowik od woni téj mdleją.
Ty wskrzeszasz radości, ty koisz boleści,
O wiosno nadziejo!

A po-nad fjołkami ciemności się dzielą,
Skowronek wywodzi oracza na pole,
Widnokrąg zaranną uperla się bielą,
I zbrodnia się kryje z rumieńcem na czole.
Zwierz dziki ucieka do leśnéj pieczary,
I serca rzeźwieją i myśli widnieją.
Ty budzisz chór modłów, chór życia, chór wiary,
Jutrzenko nadziejo!

Na widok jutrzenki młodzieniec się miota,
I xięgi pożera i szablę pochwyca.
A w dworcu z modrzewi rozkwita dziewica,
I sztandar haftuje z purpury i złota.
Dnie przyszłe, to dla nich pałace z promieni,
Gdzie skarby, aż dotąd zaklęte, jaśnieją.
Któż z tobą nie marzył, że tobą świat zmieni,
Młodości nadziejo?

Dziewica i młodzian ku sobie spojrzeli.
Różowa mgła uczuć, (co ludzki wzrok mami,
I skazy zaciera,) obłokiem ich dzieli,
I zdala się sobie wydali, bóstwami.
I wierzą w ideał na ziemi, i płoną.
Ach, zanim orkany ten obłok rozwieją,
Ty z niego budujesz krainę marzoną,
Miłości nadziejo!

Choć wionie, moc Pieśni odtworzy go jeszcze.
O matko strun siedmiu! Żar twojéj pochodni,
Rozświeca gościniec pokoleń, bo godni
Imienia poety, są tylko ci, wieszcze,
Co z rzeszą nie ciągną, lecz wyjdą na przody,
I twierdzę przyszłości przemocą brać śmieją.
Ty wieczném proroctwem pocieszasz narody,
Poezjo nadziejo!

A innych Myśl nęci w zawrotne stu-kręgi,
Przyroda ich nęci harmonją bezładną.
Wieczyście schyleni u szkiełka i xięgi,
Wieczyście ufają że sfinxa odgadną.
I pierś ich wysycha, i oczy ciemnieją.
Ty ciągle im prawdę wskazujesz w oddali —
Co dłoń twa ją przyćmi, to znowu rozpali,
O wiedzo nadziejo!

A inni bój wiodą z twardemi żywioły,
I codzień im łupów i żądań przyrasta.
Pustynie zmieniają na ogród wesoły,
Namioty zmieniają na chaty i miasta.
I orzą, tną lasy, ładują okręty,
I głowa im cięży i ręce drętwieją,
A w tobie wciąż rosną szanowne ponęty,
O praco nadziejo!

A innych świat czynu porywa, — i losy
Chcą przeprzéć, i zginąć gotowi, w nadziei,
Że grób ich, kolebką dla nowéj idei.
I biegną ua miecze, i lecą na stosy,
I cierpkie łez krople, krwi krople, dla liści
Laurowych, jak rosy ożywcze się leją.
Im więcéj gaszona, tém buchasz ogniściéj,
Odwago nadziejo!

Aż oto nadchodzą bez chwały cierpienia:
Szyderstwo — pogarda — niepamięć — okowy.
Lecz łańcuch się zmienia na wieniec palmowy,
I kielich goryczy na kordjał się zmienia.
Wybrańcy męczeństwa radośnie boleją,
Świadomi, że boleść do nieba przybliża.
Ty łańcuch kotwicy związujesz u krzyża,
Ofiaro nadziejo!

A jeśli duch w bólach tak padnie znużony,
Że w nic już nie ufa, i nic go nie łudzi,
Gdy rozpacz krogulcze zanurzy w nim szpony,
Gdy serce ostatnie mu zgaśnie śród ludzi,
I gwiazda ostatnia zagaśnie na niebie,
Gdy wszystkie nadzieje pożegna z kolei,
Jeżeli żyć może, to tylko przez ciebie,
Nadziejo nadziei!

A jeśli te bóle rozniecił żar zbrodni,
Wnet miłość ją rzuci, i wiara w niéj skona,
I ludzie się trwożnie odwrócą, — lecz od niéj
Nadzieja nie pierzchnie, bo mężną jest ona.
Gdy ziemscy lekarze już radzić nie śmieją,
Jak ziele gorzkiemi sokami nalane,
Tak ciebie sumienie przykłada na ranę,
Pokuto nadziejo!

A chociaż się ziarna wyczerpią w klepsydrze,
I śpiże na wieżach zadrgają w pogrzebie,
Człowieku, nadzieja stworzona dla ciebie,
I tego ci skarbu grób nawet nie wydrze.
Jak tęcza rozpięta nad losów zawieją,
Z potopu łez, cicho wybłyskasz, skrzydlata,
Owiana wszystkiemi blaskami zaświata,
O śmierci nadziejo!

1860.

TRZY ZWROTKI.

I.

Wierzy. Dotąd gdy pytał, to drugich nie siebie.
Uśmiecha się gdy słucha skarg ludzi na ludzi,
Ufa że w nich miłością samą miłość zbudzi.
Życie kocha na ziemi — a śmierć kocha w niebie.

II.

Zwątpił. Zawrotem próżni przebudzony we śnie,
Dopiero w przepaść patrząc poznaje swe siły.
Przekonał się o ludziach i zdumiał boleśnie.
Czuje wzgardę dla życia — a wstręt do mogiły.

III.

Gnany przez bicze nieszczęść, przez głody ba-
[dacza,
Wiedzą wrócił do wiary — i odzyskał męztwo.
Już się ludziom nie dziwi; sądzi, lecz przebacza.
W życiu, widzi bój święty, — a w śmierci, zwy-
[cięztwo.

1860.

PIOSENKA W KARPATACH.

Każda góra ma swą chwałę,
Swe podanie, i swój szczyt.
Na nich leżą śniegi białe,
Jakby jakiś wieczny świt.

Orzeł wisi na szafirze,
Jak na tarczy rznięty znak.
Prąd potoku brnie po żwirze,
Jakby twardy życia szlak.

Głos odradza się cudownie,
Gada w echu dusza gór.
Stoją skały jak warownie,
Okłębione dymem chmur.

Sto źródełek z jam bulgocze,
Jakby kłótnia srebrnych larw.
Przez obłoczki pół-przezrocze,
Sto bajecznych świeci barw.

Gra w pozłocie zielonawéj,
Roztoczony wachlarz gór.
Błękitnieją na nim stawy,
Jakby oczy pawich piór.

Ogień pryska z piersi pstrąga.
Puchem fiołków pachnie głaz.
A kosodrzew się przeciąga,
Jak zaklęty w drzewo płaz.

Na koniku, okazale,
Pasterz jedzie z dolnych pól,
Tuż pod gwiazdy, na swe hale,
Jak w swém państwie jedzie król.

Idzie steczką Podhalanka,
Na jéj licach róże dwie.
Rwie jagody, rwie do dzbanka,
Jak poeta myśli rwie.

Gemza śmiga przez otchłanie;
Za nią strzelec, iskra gór.
Owce zwisły na polanie,
Jakby biały pereł sznur.

O wieczorze, trzoda wraca.
Postrachami ćmi się las.
Przy ognisku siedzi baca,
Żółte guzy wbija w pas.

Konwie stoją pod szałasem;
Niby w liljach, mléko w nich.
Idzie zbójnik czarnym lasem,
Za nim wojsko duchów złych.

Jakby rumak rży lawina.
Orkan puścił cugle wód,
Skrzącą kosą bory ścina,
Jak śmierć, ludzki ścina ród.

Wichry pędzą skróś manowca,
Z gór na góry, w jeden skok.
Piorun zrywa zrąb lodowca,
Jak królewnę chwyta smok.

Zcichły gromy, lecz zwaliska
Zostawiły w gmachu skał.
Płyną chrzęszcząc rumowiska.
Z trumny wieków, chaos wstał.

Lśnią nabrzmiałe wodospady,
Jak pałace z tęcz i szkła.
Siadł na skale kobziarz blady.
Nad nim słońce, niżéj mgła.

Szumi kobza — szumią drzewa.
Grajek słucha pieśni gór.
Każda góra swoją śpiewa.
Tysiąc szczytów — jeden chór.

Wzlatuj duszo! Przegoń wiatry!
Nad burzami pieśnią żyj!
Niech się święcą matki Tatry,
Na ich łonie, sercu lżéj.

1860.

FANTAZJA.

Dzieje wyszły już dawno z kolébki swéj białéj,
Wieki po wiekach mijały,
A jeszcze owa,
Cudna królowa,
Kształtów, kolorów i śpiewu,
Owa wróżka nad wróżkami,
Którą czcimy pod słodką nazwą Wyobraźni,
Nie zaznała chwili gniewu.
Łza jéj powieki nie draźni,
Ani czarna zgryzota jéj serca nie plami.

To na wonnéj marzeń łące,
Zbiera jaskry pałające,
To dzwonkiem pustoty dźwięczy,
To wspomnieniem haftuje błękitne tło rąbka,
To w koralowy wózek zaprzęże gołąbka,
I przejeżdża się po tęczy.

. . . .

Aż przyszedł dzień, — dzień wielki dla poezji [ludów.

. . . .

Słowik z jutrznią rozmowę toczył pieszczotliwie.
Wyobraźnia rozigrana
Do rozkwitniętych gajów leciała od rana.

Wśród lotu... staje w podziwie.
Na kresie widnokręgu spostrzegła młodziana.
Był to urok uroków — dziw dziwów — cud cudów,

Słońce nieśmiertelności drgało mu nad głową.
Rznięte z drzewa mądrości miał pyszne sandały.
Królestwo świata nosił szatą purpurową.
Piękniejszy od Urody, od Szczęścia i Chwały,
Otrzęsiony kwiatami z Amaltejskich rogów,
U krańców nieboskłonu, jak u złotych progów,
Przesuwał się po świetle różowém i białém.

Był to najstarszy syn bogów —
A zwano go — Ideałem.

. . . .

Posągowe jéj oblicze
Drgnęło wzruszeniem nieznaném.
Raz pierwszy uderzyło gwałtowniéj, dziewicze
Serce owéj Galatei.

I zaczęła iść, w nadziei,
Że na granicach nieba spotka się z młodzianem.

Idzie przez dnie i przez lata,
Lecz on zawsze gdzieś odlata,
Codzień daléj! A choć zdala,
Roznamiętnia i zapala.

Tęskność wzmaga zachwycenie.
Już na pół zbezprzytomniała,
Wyobraźnia się szalenie,
W Ideale zakochała.

Zaczyna bieg przyśpieszać... Z piersią w ogniu,
[leci,
Do rozwichrzonéj podobna pochodni.
Świat od jéj oczów się pali.

Próżna pogoń lat całych i całych stuleci!
On razem z widnokresem odsuwa się od niéj.
Im Wyobraźnia daléj, tém Ideał daléj.

. . . .

Aż łuk miłości prysnął pod ręką rozpaczy.
Zużyła się cierpliwość wśród bezcelnych trudów.
I nastał dzień, — dzień wielki dla poezji ludów.

. . . .

Wyobraźnia wzleciała, lecz jakoś inaczéj...
Rzuca się niby piorun, rzuty ukośnemi,
Od nieba do ziemi.

Orły przeraża drapieżnym wykrzykiem.
Komety zastanawia rozpląsaniem dzikiém.

Zdjęta Pityjskim zapałem,
Do głębi zbezprzytomniała,
Z tęsknoty za Ideałem,
Wyobraźnia — oszalała.

. . . .

Ludzie jéj niepoznali. Zdumieni, struchleli,
Szukając nowéj nazwy zmiennemu zjawisku,
»To Fantazja!« Wykrzyknęli.

. . . .

Czasem, wraca jéj spokój, lecz tylko w przebłysku.

. . . .

Odtąd, wróżko! twa postać w dwóch kształtach [migoce.
Życie twe jak widnokrąg ma swe dnie i noce.
Pogoda ci się dziwi i burza zazdrości.

Jak Bosfor, gdy dwa prądy przeciwne nim chwieją,
Pomiędzy Europą waha się i Azją,
Tak ty, dwóch brzegów ducha chwytasz się koleją.
Dziwna! Tyś Wyobraźnią w chwilach przyto- [mności,
W dniach obłąkania, Fantazją.

1860.

PIEŚŃ WĘDROWCA.

Cierń się czepia na méj szacie —
Czasem znajdę kwiat na drodze.
»Zkąd przychodzę?« Wy pytacie —
Ach, ja niewiem zkąd przychodzę!

Czuwa w gąszczu zdrada skryta —
Wtedy kosztur zmieniam w dzidę.
»Dokąd idę?« Każdy pyta —
Ach, ja niewiem dokąd idę!

Pytam gwiazdy, ptaszka, zdroju,
Kto mię wysłał i do kogo?
Nic powiedziéć mi nie mogą,
Tylko mówią! »Idź w pokoju!«

Wieczne pędzą mię zawieje —
Nigdy wrócić się nie mogę!
Tylko serce mię ogrzeje —
Tylko myśl rozświeci drogę.

Jestem smutny, bo wędrowiec.
Nigdy niewiem jak cel bliski?

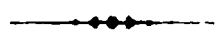
Iść zacząłem od kołyski,
Muszę iść aż po grobowiec —
Iść w dolinie marzeń złotéj,
Po skalistym cierpień szczycie,
I przez wielki step tęsknoty...
Dziwnaż to wędrówka, życie!

. . . .
. . . .

Co tak błysło nad pomroką?
Z po-za czasu i przestrzeni,
Coś wyjrzało, niby oko,
Uwiązane z trzech promieni.

Błysk lotniejszy był niż gromy,
Lecz pokazał drogę całą.
Rozpoznałem kraj znajomy...
Serce sobie przypomniało,
I zkąd idę i do kogo,
I co budzi żal sierocy?
Ja powracam! — Życie drogą —
Świat gospodą jednéj nocy —
Lecz już zorza iskry krzesze,
Już ojczyzna niedaleka...
Ze zdobytym skarbem spieszę —
W domu, Ojciec na mnie czeka!

1860.



ODA DO CZYNU.

STROFA.

Na ciernistém bezdrożu śmiertelnego świata,
Myśl, piorunem rozdziera krąg tajemnic chmur-
[ny —
Srebrne słowo, na skrzydłach śpiewających lata —
Miłość, zasadza róże do życiowéj urny.

ANTYSTROFA.

Ale jakże przelotnie, szafirowo-oki,
Białą stopą gazelli, przebiegasz orszaku!
— Piorunowy szlak myśli rozedrze obłoki,
I ciemność jeszcze głębsza zostanie po szlaku.
— Ptak słowa, drżąc ucieknie w utopję błękitną,
I cisza jeszcze głuchsza zostanie po ptaku.
— Róże z krzaków miłości, pobladłszy, okwitną,
I zima jeszcze łzawsza zeszkli się na krzaku.

EPOD.

Tylko on, z nad tego tłumu,
W blasku żelaznéj korony,

Z pod amjantowéj opony,
Świeci groźny, niewzruszony —
Namiętności i Rozumu,
Marmurowy syn:
Czyn.

STROFA.

Czy ma postać prostaczka, czy skroń bohatera,
Czy kańczug potępieńca, czy palmę anioła,
Jak starożytne Fatum nigdy nie zamiera,
I coraz szerszém echem w nieskończoność woła.

ANTYSTROFA.

Bez czynu, świat by leżał jak rola bez plonu.
Myśl bez czynu, to xięga gdzie niestaje końca —
Słowo niebrzmiące czynem, to wieża bez dzwonu —
Miłość w czyn niedojrzała, to wiosna bez słońca.
—Nikt z nim brylantowego nie podziela tronu.
Stalowa myśl, to tylko klucz do jego bramy —
Słowo tylko skowronkiem u jego zagonu —
Miłość tylko pochodnią z którą go szukamy.

EPOD.

Któż błyskotliwą nadzieję,
W posąg wspomnienia uleje?
Któż i gwiazdom nie zazdrości,

Bo gwiazd więcéj kładzie w dzieje?
On to, Czasu i Wieczności,
Nieśmiertelny syn:
Czyn.

STROFA.

A dziwna jego płodność. Na hańbę czy chwałę,
Mnoży się, roi, rośnie, — i w dzień Jozafatu,
Struchleje świat, gdy Czyny w ów dzień zmar-
[twychwstałe,
Wyjdą ze swém potomstwem na świadectwo
[świata.

ANTYSTROFA.

Ach, gdy widma ich staną przed stolicą Pana,
Któż z nas rąk nie załamie, i oczu z rozpaczą
Nie spuści? Może wówczas niejedni zapłaczą,
Że taka moc jak czynu została im dana!
Jeżeli raz przeklętą będzie myśl fałszywa, —
Dwakroć słowo — potrzykroć miłość zfałszowa-
[na, —
To czyn fałszywy, przekleństw siedemkroć przy-
[zywa.
Czyn fałszywy jest synem Duszy i Szatana.

EPOD.

Ale jakaż zeń potęga,
Gdy go Prawda w biel obleka!

Kto w swój rydwan przyszłość wprzęga?
Kto siódmego nieba sięga?
On to, Cnoty i Człowieka,
Przepromienny syn:
Czyn.

1861.



PIOSENKA PRZY GOTOWALNI.

Jestem sobie dziewczę młode!
Świat obmowny o nas głosi,
Że lubimy zmieniać modę.
Fałsz! Ja zaraz wam dowiodę,
Że jak świat jest na swéj osi —

Dwie nam dano tylko mody:
Albo habitowy len,
Albo rąbek Panny Młodéj.
Bierz koniecznie, ten lub ten.

Że tam jedna na miljony,
Śmiała nosić liście wieszcze,
Lub hełm gwałtem wywalczony,
Albo jakiś cień korony,
A! To »modą« nie jest jeszcze.

Chwile płyną szparką strugą...
Nieraz łaje mi brat mój,
Że się stroję nazbyt długo.
Właśnie mię téż w głowie strój!

Myśli kto, że ile razy
Na źwierciadko spojrzę moje,
To przypinam kwiaty? Gazy?
Lub naprzykład o kim roję?
I dlatego długo stoję?

Bajka! Ja nie świécidełka,
Nie uśmiechy marzę. Nie!
Zapatrzona w głębie szkiełka,
Inne ja źwierciadła śnię!

Gdybym była bohaterką?
Takiéj stal zbyt nie obarczy,
Co słuszności jest rycerką.
Tarcza gładka jak lusterko...
Cudnież się to przejrzéć w tarczy!

Być natchnioną? Wyższy wdzięku!
Z grot Sybilli tryska zdrój...
On źwierciadłem w Prawdy ręku.
Tam się przejrzéć, Boże mój!

Być królową? Bądź ostrożna...
Berło nadto daje trudu.
By dogodzić, trzeba cudu.
Tak... Lecz błogoż, gdy się można,
Przejrzéć w sercu swego ludu!

Dziwią mędrków myśli śmiałe?
Czemuż im się dziwią tak?

Jeśli chłopiec marzy chwałę,
To przyszłości wielkiéj znak.

A niby to Bóg, kobiecie,
Nie dał równéj żądzy chwały,
Jak tym panom, co świat cały
Wiodą? Ładnie go wiedziecie!
Tak, że zawsze źle na świecie.

Oto sześć tysięcy lat,
Jak rzekliście: »Piękne panie,
»Siądźcie, patrzcie co się stanie:
»Będziem urządzali świat.«

Sztuka, prawda że ciekawa,
Mało z ócz nie pryśnie dusza...
Ależ straszna! Ależ krwawa!
Na trajedję zbyt zakrawa,
Nerwy nadto nam porusza.

My, spróbujmy sił w dramacie.
Teraz *my* urządźmy świat!
Na tę próbę, téż nam dacie,
Z jakie sześć tysięcy lat.

Czy los twardy się ugłaska,
Gdy poczuje dłoń kobiecą?
Zobaczymy! Lecz dni lecą...
I cóż robić, jeśli łaska?
Najprzód, mody zmieńmy nieco.

Nie myślimy, (brońcież nieba!)
Ni ślicznego stroju gód,
Ni habitu zrzec się. Trzeba,
Dodać tylko parę mód.

Kto wié? Ziarnko niesie plony.
Może z próbką tak nieznaczną,
Lepiéj będzie świat rządzony,
Gdy kobiéty nosić zaczną,
Hełmy, laury i korony?

1861.

ODA DO PRZYRODY.

STROFA.

Gdy mi w duszy jest radosno,
Gdy nadzieje w sercu rosną,
Wtedy w szumnym drzew pokłonie,
I tętniącym jaskiń dzwonie,
W cienkostrunnym brzęku pszczółki,
W cymbałkowych szkłach rzeczułki,
W gadającéj blaskiem gwiazdce,
I w słowiczéj opowiastce,
I w szemrzącym sianokosie,
I spokojnym trzody głosie,
W złotym kłosie, srebrnéj rosie,
I w pękaniu wszystkich kwiatów,
I w symfonji wszystkich światów,
Słyszę własnych uczuć echo.
Gdy mi błogo, gdy mi młodo,
O radosna, o przyrodo,
Ty się dzielisz mą uciechą.

ANTYSTROFA.

Lecz gdy żal za serce chwyta,
Gdy zgryzoty dłoń ukryta,

Piołunowy kielich poda,
Wtedy nie zna mnie przyroda,
I koło mnie krąży w ciszy,
A mych skarg niby nie słyszy.
Czy kto cierpi, czy kto kona,
Czy kto oszaleje, — ona,
Obojętna, niewzruszona,
Dzierga wiecznie sieć promieni,
Na zwaliskach się zieleni,
Pod więzienną kratą kwitnie,
Nad kostnicą lśni błękitnie,
I po grobach i kołyskach,
Ucztach i pobojowiskach,
Równo tkając roczne pory,
Płaszcz zarzuca jednowzory.
Bezsercowa ty! Przez chwilę,
Na twéj różczki znak mistrzowski,
Rozdmuchnięte jak motyle,
Mogą pierzchnąć lekkie troski.
Lecz namiętnéj skorpjon męki,
Lecz myślowéj sęp katuszy,
Na skinienie twojéj ręki,
Nie ustąpią z ludzkiéj duszy.
Suchém okiem zapatrzona,
W tygiel życia jak świat wielki,
Ty stokrotne masz imiona,
Wszystkie, — prócz pocieszycielki.

EPOD.

Bądź-że mi więc mistrzynią! Twe zimne uśmiechy,
Nad niedolą człowieczą, nad losów rozstrojem,
Stoiczny hart i w sercu rozbudziły mojém.
Nie żebrzę twéj litości. Nie chcesz dać pociechy?
Daj więcéj: wzór! Od ciebie uczę się pogody.
Kto długo wzrok zatapia w obliczu przyrody,
Ten wstanie z Olimpijskim na czole pokojem.
Więcéj dajesz! Spokojność w zachwyt się prze-
[mienia:
Z twych liści, kwiat najwyższych zagadnień wy-
[strzela.
Kto mądrze umié patrzéć w zasłonę stworzenia,
Ten przez jéj tkankę dojrzy rękę Stworzyciela.

STROFA.

Gdy wyprawiasz w oczach ludów,
Widowisko ciągłych cudów,
Gdy podajesz nam przez fale,
Bisior, bursztyn i korale,
Gdy podajesz nam przez góry,
Złoto, brylant i marmury,
Gdy rozwieszasz na szafirze,
Wysadzaną gwiazd paiżę,
Rubinowe zórz zegary,
I puszyste chmur kotary,

Gdy nabijasz dla nas łąki,
W mozajkowe kwiatów pąki,
Gdy z kolibrzéj świecisz krasy,
Jedwabnikom tkasz atłasy,
Tęczą wiążesz ziemię z niebem,
Łan poszywasz świętym chlebem,
I jak wieńce do biesiady,
Zaokrąglasz winogrady,
Gdy zbratawszy się z człowiekiem,
Dwakroć wnosisz jego zdrowie,
Jedno miodem, drugie mlekiem,
Gdy mu kładziesz pod wezgłowie,
Puch łabędzi, krętą wełnę,
I sobole iskier pełne,
Gdy mu dajesz na usługi,
Barki wołu, lot rumaka,
I gołębi gończe cugi,
I sokoła za dworaka,
I psy wierne za odźwierne,
I kokoszkę za szafarkę,
I jaskółkę za wróżbiarkę,
Aż napełnisz dom jak arkę,
Kiedy w każdém ziółku małém,
Puzdereczko masz z kordjałem,
Co od jadu zabezpiecza,
Sen przywabia, ból ulecza,
Wtedy ciebie błogosławię,
Śpiewam Pean ku twéj sławie,
Przyjaciółko ty człowiecza!

ANTYSTROFA.

Lecz gdy wiążesz z fal wylewu,
Srebrną rózgę twego gniewu,
Gdy naszywasz z łun pożaru,
Krwawy znak twego sztandaru,
Gdy w kolczaste zbrojna mrozy,
Lawinowe pędzisz wozy,
Gdy się snem Fata-Morgany,
Naigrawasz z karawany,
Gdy powierzasz twe rozkazy,
Cichoskrzydłym ćmom zarazy,
Gdy twa zemsta moc wytęża,
Z ócz tygrysa, wideł węża,
Gdy magiczna twoja laska,
Na pioruny się roztrzaska,
Gdy przez gardziel oceanu,
Pękającą chłoniesz nawę,
Gdy nalawszy kadź wulkanu,
Miasta żywcem kładziesz w lawę,
Gdy wypruwszy ziarna z łanu,
Głód u pustych sadzasz stołów,
Gdy przez trąbę huraganu,
Głosisz sądny dzień żywiołów,
Gdy urągasz nam zwycięzko,
I bezmyślność masz na twarzy,
Gdy owijasz jedną klęską,
Sprawiedliwych i zbrodniarzy,

Wtedy kładąc dłoń u powiek,
Pół ze wstydem a pół z bólem,
Pytam cicho: Jakże człowiek,
Może zwać się twoim królem?

EPOD.

A jednakże gdy widzę, jak codzień twa xięga,
Nowe, hieroglificzne wydaje nam słowo,
Jak się dla oczu mędrców stajesz kryształową,
Jak postęp sturamienny sił twoich dosięga,
Rozhukane ujarzmia i w swój rydwan wprzęga,
Gdy widzę, (ach dziwniejszy, Edeński obrazie!)
Jak u stóp Świętych Pańskich kładziesz się ła-
[skawa,
Głos dawnego monarchy poznajesz w rozkazie,
I do wyższych praw cudu naginasz twe prawa,
Radośnie wołam: Witaj, zmiękczona w urazie!
Jeszcze więc nawiążemy przymierze rozprute!
Ów odkoronowany, czyniący pokutę,
Król-człowiek, jeszcze może wrócić do djademu!
Panowanie nad sobą niegdyś utraciwszy,
Stracił je i nad tobą. Los najsprawiedliwszy,
Sługa poszła w ślad pana. Bunt zbuntowanemu.
Odzyskać tron, to jego stuwiekowa praca.
Szczęsny, gdy żółwim krokiem rozumu, — szczę-
[śliwszy,
Gdy orlim rzutem cnoty, na majestat wraca.

1862.

SKARGA POETY NA LUTNIĘ.

Zaledwie wybiegłem z lat pierwszych poranka,
Ty lutnio zabłysłaś tęsknocie młodzianka.
Twe siedem strun złotych, jak siedem warkoczy,
Oprzędło mi serce, olśniło mi oczy,
I odtąd ci służę z wiernością kochanka.

Posyłasz mię codzień, by który ze światów
Zdobywać dla ciebie. Wśród walk tych i czatów,
Mów, jakąż nagrodą wzmocniłaś mi duszę?
Cudowna dziwaczko! Poskarżyć się muszę —
Poskarżyć przed sądem gwiazd, kobiet i kwiatów.

Od czasu gdym wróżkę ukochał tajemną,
Cóż z tego, że widzę dnie przyszłe, gdy ciemno,
Tém ciemniéj w obecnych? Jam niegdyś miał wolę!
Dziś błądzę jak senny w magiczném snów kole,
Częstokroć sam nie wiem co dzieje się ze mną?

Gdy życie dla innych uchodzi zegarem,
Mnie chwile się mącą wieczności twéj czarem.
Świtaniem piosenki rozbudzasz mię w nocy,
Moc dajesz duchowi gdy ręka w niemocy,
Z istnością mą igrasz jak wiatr ze sztandarem.

Grom każesz mi śpiewać gdy niebo w pogodzie.
Myśl w bitwę porywasz gdy marzę w zagrodzie.
Ileżkroć poeta chciał śpiewać myśl inną,
A inną wyśpiewał! Czyż tak być powinno?
Dla czegóż tak rzadko pieśń z życiem jest
[w zgodzie?

Częstokroć gdy rzeknę: »Pieśń dzisiaj uleję,
»Pieśń wielką i nową«. Choć puszczę się w knieje,
I siądę na grobach, sto razy trop zmienię,
I pukam, i pytam: »Gdzie znaleźć natchnienie?«
Natchnienie gdzieś pierzchnie, a lutnia się śmieje.

Aż kiedy strudzony szturmami próżnemi,
Jak prosty syn ziemi chcę użyć praw ziemi,
Gdy sale biesiadne od świateł się trzęsą,
Gdy radość migoce pod czarną dziew rzęsą,
Gdy przecie gwar ludzki mą tęskność oniemi —

Natenczas się lutnio głos budzi w twém łonie!
Ta dumna się prosi, drga w sercu jak w dzwonie,
I muszę porzucać puhary, uśmiechy,
Powracać do lampki samotnéj z pod strzechy,
I zrzec się róż w życiu, dla listka po zgonie.

Tak w słońcu czy w burzy, od nocy do ranka,
Od ranka do zmroku, przekorna sułtanka,
Próbuje mię, dręczy rozkazy sprzecznemi.
To gwiazdki chce z nieba, to skarbu z pod ziemi.
I zawszeż mam tańczyć, jak zagra niebianka?

O! Wiem ja czém przyciąć te skrzydła swawoli!
By śpiewać, nie spytam czy lutnia zezwoli?
A kiedy głos lutni sam przerwie mą ciszę,
Odejdę i udam że prośby nie słyszę.
Tak zmuszę natchnienie, by szło po méj woli.

Kto woła? To ona... Jak wyrwać się z koła?
O szczęście! Już czuję promienie u czoła.....
Królowo! Rozkazuj i przebacz méj dumie.
Poezjo, ty jesteś jak miłość! Któż umié
Powiedziéć: »Nie pójdę!« gdy jedna z was woła?

1863.

ODA DO POKOJU.

STROFA.

»Pokoju! Ach pokoju!« Wołają żywioły.
Rzeka pochłania strumień — rzekę chłoną morza.
Sokół ściga skowronka — sęp ściga sokoły.
Noc zwalcza brzask wieczoru — z nocą walczy
[zorza.
Dąb ciężarem gęstwiny przytłacza krzew z różą —
Burza wyrywa dęby — słońce walczy z burzą.
Pod wonnym kwiatem, leży jadowita żmija —
Szyderczy robak toczy serce bohatera.
Od wymoczka do orła, wszystko się pożera —
Od orła do człowieka, wszystko się zabija.
W przepaścistościach niebios, moc rozdzierająca,
Pierś mgławicy na kruche planety roztrąca —
Ogień gryzie planetę paszczami wulkanów —
Woda bije się z ogniem szponami orkanów —
Powietrze glob owija całunem pomorów.
Co żyje, żyje tylko śmiercią innych tworów.

ANTYSTROFA.

A jednak są przestworza, gdzie cichną żywioły,
Gdzie nie słyszysz fal zgrzytu, ni szczęku pio-
[runów.
Tam Śmierć swoje lodowe buduje kościoły,
Których bożyszczem: Nicość. To kraje biegunów.

EPOD.

Ojcze! My Cię nie błagamy,
O téj zimy sen żałosny,
Lecz o żywy spokój wiosny.
Otwórz znowu rajskie bramy,
By przyrody pieśń zaranna,
Wieczne niosła Ci »Hozanna!«

STROFA.

»Pokoju! Ach pokoju!« Wołają narody.
Gdzie go znaleźć? Tu zbójca na rozdrożu czyha —
Tam żołdak wieś podpala — ówdzie zdrada cicha,
Ze złowieszczym szelestem podkopuje grody —
W domu Bożym kolumna pada na kolumnę —
Anioł rodzinny z krzykiem ucieka od zgliszczy —
Za rydwanem tryumfu idą hufce, dumne,
Że ich trud jednodniowy, pracę wieków niszczy.
Narody się rozsiadły na dziejowéj stypie —
Grają w kości... człowiecze. — Co mogło sowicie
Wyżywić pokolenia, to zwycięzca zsypie
W ciasny kraj płaszcza. — Życie, to bitwa o życie —

Biesiada ludożercza — głód nienasycony.
Nie ciesz się synu ziemi w nadziei zwodniczéj,
Abyś miał kiedy spocząć! Jeśli dla zdobyczy
Nie walczysz, będziesz musiał walczyć dla obrony.

ANTYSTROFA.

A jednak są krainy, z powietrzem tak cichém,
Że strzel, a świstu własnych nie usłyszysz grotów.
Tam Wojna śpi, bo krwawym spiła się kielichem.
To bieguny społeczne: krainy Ilotów.

EPOD.

Synu! My Cię nie błagamy,
O ten spokój, co narody
Zamarzłemi dławi tamy,
Lecz o spokój wolnéj zgody,
Co pod krzyżem jak dzwon buja,
Głosząc dziejom: »Alleluja!«

STROFA.

»Pokoju! Ach pokoju!» Wołają sumienia.
Gdzież walka potężniejsza jak pod niebem duszy?
Tam pole się najdroższą krwią serca zrumienia —
Tam za Boga samego Wiara kopje kruszy.
— Namiętności, jak wojsko ruszyły gwałtownie —
Tratują ziarno szczęścia uzbierane z laty —
Obległy granitową przekonań warownię.
Szturm straszny. Bój wątpliwy. — Któż pierwszy
[na czaty

Zejdzie? Niewinność zbiegła z kryształową zbroją.
Wśród bitwy nie drżę o nią. Po bitwie, truchleję,
Czy Pokusy jéj senną rozkoszą nie spoją?
Rozum jéj niesie odsiecz — może i nadzieję?
Lecz i Pokusy mają swój Rozum. Przed światem,
One braćmi, — i Kain Ablowi był bratem.
— Wytrwają-ż białe siły w oblężeniu ducha?
Ach biada! Czarne wojsko roi się bezmiernie,
Celniéj strzela, i karniéj swych przywódców słucha.
Białe, wtedy zwycięża, gdy walczy na ciernie.

ANTYSTROFA.

A jednakże są dusze, którym bój nieznany.
Te się o nieśmiertelne nie pokuszą łupy.
U nich myśl tylko jedna: z bitew ujść bez rany.
Więc przypadły do ziemi — i udają trupy.

EPOD.

Duchu! My Cię nie błagamy,
O ten spokój serc bez troski,
Którym dosyć ziemi saméj,
Lecz o cnoty spokój boski,
Co i w śmierci, tryumfator,
Może wznieść »Veni Creator!«

1863.

ODPOWIEDŹ.

Samotne dziewczę szło daleką drogą.
»Czyż cię« pytano »samotność nie nuży?
»Czemuż z wędrowców nie wybierzesz kogo,
»Za towarzysza podróży?«

— Jeśli się znużę, sama wam obwieszczę.
Widzę was wszystkich, od wszystkich odchodzę.
Nie, — ten którego wiernie czekam, jeszcze
Nie przeszedł po mojéj drodze.

»Niewidzianego jakżebyś poznała?«
— Jak? Niepodobny on tu do nikogo.
Wiem, bo w méj duszy obraz jego pała.
Nie, jeszcze nie szedł tą drogą.

On gdzieś jest... czuję to po serca biciu.
Gdzie? Dotąd nie wiem. Na ziemi? Czy słońcu?
Czy jakiéj gwieździe? Spotkam go przy końcu,
Lecz może aż w innêm życiu.

1866.



PTAK I DZIEWCZĘ.

Oj przecudnież to tam w lesie!
Co szeptania! Co igraszek!
Wiatr po liściach piosnkę niesie.....
Kto tak śpiewa? Ptaszek.

Na kibici gnąc się gibkiéj,
Dziewka siadła w cieniu drzewa.
Ma w koszyku złote grzybki,
I ona téż śpiewa.

Chce przygasić piosenkarza,
Wyśpiewuje z całéj duszy.
Ptak się dziewce przekomarza,
Aż gardziołko puszy.

Wielka cichość legła w borze;
Chciałby słyszéć ich oboje,
Lecz zrozumiéć nic nie może;
Ten swoje, ta swoje.

Zatém prośbę im szeleści:
»Moja paro ty nadobna,
»Śpiewaj piosnkę jednéj treści,
»Lub każdą z osobna.«

— »Jakto?« Ptaszek woła w dumie.
»Czyż to znaczy, że ta dziewa,
»Co się w niebo wzbić nie umié,
»Lepiéj niż ja śpiewa?«

A dziewczyna: »To ja może,
»Nie bywałam sercem w niebie?
»Ja mój ptaszku się założę,
»Iż prześpiewam ciebie.«

Ptak nie waha się ni chwili.
— »Czyjże« pyta »wyrok będzie?«
Tu na jedno się zgodzili:
»Las weźmy za sędzię.«

Do ich woli bór się skłania,
I te słowa szumnie huka:
— »Trzy postawię wam zadania.
»Do trzech razy sztuka.«

Na lesistéj, krągłéj łące,
Ptak i dziewczę stają w szrankach,
Widzów piętrzą się tysiące,
Po zielonych gankach.

W górze, same drzew korony.
Niżéj, kwiatów dwór jaskrawy.
Jeszcze niżéj, mchów i trawy,
Lud nieprzeliczony.

Skrzętne mrówki, krzepkie pszczółki
Pracujące w słodkim cechu.
Dziarskie wilgi, i kukułki,
Grające na echu.

Zdrój, czekając z niepokojem,
Gadatliwą wstrzymał pianę.
I jelenie po-nad zdrojem,
Stoją zasłuchane.

Nawet wilki na tę chwilę,
Zawiesiły wieczną wojnę.
W koło szranków mkną motyle,
Jak heroldy strojne.

W gąszcz od czasu też do czasu,
Ciekaw, zbiegnie promień słońca.
Tłum prześliczny, tłum bez końca,
Obsiada cyrk lasu.

Strach, szermierzy przejął skrycie,
Gdy ujrzeli tyle gości.
A las szumi: »Zanucicie
»Piosnkę o Radości.«

Ptak zaśpiéwał. Blednie dziewka.....
Któż podobnie śpiewać zdoła?
Dość powiedziéć, że ta śpiewka,
Jak ptaszek wesoła.

Ni przeczucie, ni wspomnienie,
Tam nie rzuca cienia troski.
Piosnka dzwoni jak w Edenie,
W pierwszy ranek boski.

Skończył. — Dziewka zaśpiéwała.
Głos jéj czysty, dźwięki złote,
Lecz wesołość jéj nieśmiała,
Trąca o tęsknotę.

Pokręciły głową drzewa,
Zkąd w radości smutek rośnie?
I wyrzekły jednogłośnie:
— »Ptaszek lepiéj śpiewa.«

Oh, jak dziewczę mu zazdrości!
Całe mieni się w szkarłacie.
A bór szumi: »Zaśpiewacie,
»Piosnkę o Miłości«.

Ptak i dziewczę, po kolei,
Głos namiętny z piersi wznoszą.
Kwilą trwogą, drżą rozkoszą,
Wirują w nadziei.

A tak serce równo bije,
W tamtym śpiewie i tym śpiewie,
Że gęstwina sama niewie,
Które dźwięki czyje?

Jak podcięty przez żelazo,
Las w najgłębszéj zadrgnął dali,
I zawołał: — »Ach, tą razą,
»Oboje wygrali.«

Potém, długa drzew narada.
Sędzia szuka trzeciéj treści.
— »Zaśpiewajcie mi« — powiada,
»Piosnkę o Boleści.«

Głos dziewczęcia brzmi po rosie,
Brzmi łkająco... rozhukanie.....
Otwierają się w tym głosie,
Bezdenne otchłanie.

Coraz rzewniéj, coraz smętniéj,
Żal wybucha, pieśń się kruszy.
Cała wielkość ludzkiéj duszy,
Łzą w jéj głosie tętni.

I ptak skarży się i zżyma,
Jakby gniazdka bronił czule.
Ma w głosiku różne bóle,
Tylko łez w nim niéma.

Las oniemiał jakby skała,
Potém westchnął po cichutku,
I dał wyrok: »W pieśni smutku,
»Dzieweczka wygrała«.

Ta spłonęła niby róża,
Tryumf osiadł u jéj czoła.
Lecz ptaszyna się oburza,
I szydząco woła:

— »Czyż uchwała sprawiedliwa?
»Jedném słówkiem ją odmienię:
»Tam gdzie chodzi o cierpienie,
»Kto przegrał, wygrywa.«

1866.

PORWANY WICHREM.

BALLADA.

Chata w dolinie, i chata na wzgórzu.
Pstro w ich ogródkach jakby w piórze pawiém;
Nasturcje płoną wśród malw i jarmużu,
A studnia skrzypi żórawiem.

Krzepko pracują w chatach gospodarze.
Syn u jednego, u drugiego córka.
Przez nich się wiąże, jako powieść każe,
Miłość doliny i wzgórka.

On tęsknie patrzy na ptaki skrzydlate,
Chciałby świat zmierzyć, wichrowi zazdrości.
Ona, co lubi? Swą trzodę i chatę.
Podobni, tylko z miłości.

On jakby potok zbiega do niéj z góry,
Ona jak powój ku niemu się wspina.
— Lecz krótko szczęście kwitnie jak dolina!
Szczyt jego, przyciąga chmury.

W przeddzień wesela, gdy dziewczę bez troski,
Rwało rozmaryn do ślubnego wieńca,
Przyszedł nieznany czarodziej do wioski,
I rzucił czar na młodzieńca.

Czemu? Czy w jego zakochał się dziewie?
Czy mu znak orli wyczytał na czole?
Niewiem, — nikt myśli czarodzieja niewie —
Lecz tak wykonał swą wolę:

Wziął pęczek cierni, wziął pióro łabędzie,
Pod próg podłożył, przysnuł zielem dzikiém.
— Wybiega z chaty młodzieniec, i w pędzie,
Na progu staje z wykrzykiem.

W téj chwili słońce wydało się bledsze,
Nadpełzła chmura gromami nalana,
Wicher zahuczał, uderzył młodziana,
Wzniósł go, i porwał w powietrze.

Porwany wichrem szarpie się w rozpaczy.
Woła... głos jego stłumiła zawieja.
Spojrzał ku ziemi: widzi czarodzieja,
Lecz jakże widzi inaczéj!

To już nie człowiek o podróżnej szacie.
W ręku wywija różczką piorunową,
Na tle z błyskawic, stoi w majestacie,
Z niebieską gwiazdą nad głową.

I woła głosem co jak złoto dźwięczy:
— »Odtąd ci życie będzie promienistszém.
»Pokłony orłów i kochanie tęczy
»Zdobędziesz, bom ja ci mistrzem.

»Ale o ziemi zapomnij na niebie.
»Rozstań się z marnym dziewczęcia obrazem.
»Nieba i ziemi nie można mieć razem.
»Jam niebo wybrał dla ciebie.«

Wionął czarodziej niby mgła zwodnicza.
— A pleban czeka w kaplicy bieluchnéj,
Jadą drużbowie trzaskający z bicza,
Na wozach świergocą druchny.

Spieszą się, słyszą nadchodzącą burzę.
Spojrzeli w niebo, i mowę stracili.
W chmurze! Młodzieniec mocuje się w chmurze,
Błagalnie dłoń ku nim chyli.

Kto go dosięgnie? Kto rękę mu poda?
Chłopcy bezsilne wytężają ramię,
Kobiety płaczą, ach! a Panna Młoda?
Upada i rączki łamie.

Porwany wichrem, bez wytchnienia wzlata.
Już chat nie widzi, już nie słyszy głosów.
Cicho, i jakby przed stworzeniem świata,
Znalazł się sam wśród niebiosów.

Zrazu, trwożliwy był lot podróżnika.
Drżał czy nie spadnie? Czy nie trąci gromu?
Ale do nieba szybko się przywyka,
Duch czysty, tam jest jak w domu.

Nie znał pragnienia, ni męki głodowéj.
(Człowiek pod czarem ich nie zna). Z rozkoszą
Muskał błękity, co jak nurt go wznoszą,
Wyuczał się ptasiéj mowy.

Orzeł na ręku mu siadał jak chwała.
Nizko pod stopą miał chmury i klęski.
Tęcza pokoju w nim się zakochała,
I łuk mu wzniosła zwycięzki.

Leciał dni wiele. Doleciał do słońca.
Tam prawda świeci, od światłości czystsza.
Tam się napatrzył tajemnic bez końca,
W mądrości doścignął mistrza.

Szczęście samotne! Rozkosze surowe!
Na życie twarzą spoglądał pogodną,
Modra mu gwiazda spłynęła nad głowę,
Lecz w sercu — było mu chłodno.

Czasem go wicher opuszczał ku ziemi.
Raz, przez szczelinę rozdartą w obłoku,
Spostrzegł dwie chatki z ogródkami pstremi,
I łza zadrżała mu w oku.

Wszystko z wysoka wydaje się cudniéj.
Zatęsknił orzeł do strzechy gołąbka.
Ach... czy to ona? Z pod kraśnego rąbka,
Poznał swe dziewczę przy studni.

Oczy fartuszkiem otarła, i drogą
Idzie, a patrzy w tę tam chmurkę ciemną,
Jakby na niebie wyglądała kogo.
On woła, lecz nadaremno.

Nie słyszy! Z sierpem odeszła do żniwa.
On walczy z wichrem jak w dzień pierwszéj burzy.
— Uczucie ludzkie, im tłumione dłużéj,
Tém się gwałtowniéj wyrywa.

Przy swojéj chacie ujrzał czarodzieja.
Ten milcząc, jego przyglądał się męce.
W serce młodzieńca wróciła nadzieja;
Zawołał, składając ręce:

— »Szczęścia! Miłości! Lub z tęsknoty zginę!
»Wzniosłeś mię cudem. Ach, co mi po cudzie?
»Oddaj mi strzechę! Oddaj mi dziewczynę!
»Chcę żyć i kochać jak ludzie.«

— »Kto zaznał niebo, niech ziemi się zrzecze«.
Mówi czarodziej.
— »Ha mistrzu! W tém niebie,
»I ja zdobyłem siły nadczłowiecze.
»Znam czary, nawet na ciebie.«

Tu promień światła jakby strzałę chwyta,
Ostrze jéj, łzami nasącza własnemi.
Puścił ją... W stopę czarodzieja wbita,
Wskróś go przykuła do ziemi.

— »Mistrzu! Od ziemi ciebie nie wyzwolę,
»Póki nie zdejmiesz czaru nieba ze mnie.«
— Mistrz chociaż cierpiał, miał dumę na czole.
Mistrz się uśmiéchał tajemnie.

— »Gdyś tak potężny, losy twe odmienię,
»Ale pamiętaj: kiedyś, méj obrazy,
»Pomści się własne twych życzeń spełnienie.«
— Tu go odżegnał trzy razy.

Młodzian się spuszcza... Stanął. Jak mu błogo!
Całuje ziemię. — Lekko wyjął strzałę
Ze stopy mistrza, i puścił się drogą,
Radosny jak dziecię małe.

Ściska przechodniów, pędzi do zagrody,
Kłania się nizko ojcu swojéj lubéj.
— »Witajcie!« — Woła. — »Powracam na gody.»
Ojciec uśmiéchnął się z chluby.

Pięknie miéć zięcia co aż z gwiazd przybywa!
— I znów rozmaryn zaplatają druchny,
Pleban ich łączy w kaplicy bieluchnéj,
I para żyje szczęśliwa.

Czy tu już koniec? O, jeszcze nie! Życie,
Ma drogę dłuższą niż droga powieści.
— Serce młodzieńca ze szczęściem się pieści,
Lecz myśl zostawił w błękicie.

Gdy tęcza błyśnie, gdy orzeł przeleci,
Żal go podrywa, iskrzą mu się oczy.
Nawykł do rzeźwéj, wichrowéj zamieci —
Powietrze dolin go tłoczy.

Coraz mu puściéj wśród ludzkiego gwaru.
Istnienie jego na dwoje się kruszy.
Ach, on nie wiedział, że mistrz, z jego duszy,
Zdjął tylko połowę czaru!

Duszno mu w chacie, wybiega na pole,
Podniósł ramiona do wyższego świata,
I, o radości! Gdy wytężył wolę,
Uczuł że znowu podlata.

— »Teraz mię troski nie dościgną żadne!
»Tam będę wielki, tu będę kochany.
»Czy zechcę wzlecić czy zejść, na przemiany,
»Niebem i ziemią zawładnę.«

Jak rzekł, wykonał. Niekiedy, nieśmiało,
Latał na chwilę między wyższe moce.
Lecz co tam jemu chwilą się zdawało,
To były tu, dnie i noce.

Spokojne szczęście w chacie się zamąca.
Żona wygląda z podejrzliwą trwogą.
— »Gdzie tak odchodzisz?« Pyta go, i drżąca,
Dodaje ciszéj: »Do kogo?«

Mąż się daremnie na wierność zaklina,
Niewiasta płacze lub milczy z żałobą.
Chce do pagórka dorosnąć dolina,
I prosi go: »Weź mię z sobą!«

I wziął ją z sobą w potężne ramiona.
Lecą. Struchlała w niebieskiéj pustyni.....
Blednie, lecz krzyki zapiera w głąb' łona.
Miłość odważną ją czyni.

On ją unosząc, mdleje od ciężaru.
Gdzie nie drżał dawniéj, tam o nią się trwoży.
I coraz rzadziéj latają w świat boży.
Na dwoje mało pół czaru!

Aż dnia jednego, gdy wzlecieli rano,
(Mówił mi starzec, świadek owéj chwili),
Czekano długo, bez końca czekano,
I nigdy nie powrócili.

Czy śmierć ich zaszła w niebezpiecznéj jeździe?
Czy się rozwieli w tym ciągłym powiewie?
Czy zamieszkali na szczęśliwszéj gwieździe?
Nikt w wiosce do dziś dnia niewie.

Chaty się chylą, chwast buja do koła.
Niekiedy lirnik na gruzach tych stanie,
Od siwych ludzi usłyszy podanie,
Siądzie przy studni, i woła:

»Porwany wichrem, to obraz genjuszu.
»Ideał rzuca na niego zaklęcie,
»A rzeczywistość go ściąga w objęcie.
»Któż znajdzie klucz ich sojuszu?«

1866.

Z SZUMÓW LEŚNYCH.

Przed laty wielu, może przed tysiącem,
Przez pełną ciemnic i postrachów puszczę,
Pod noc, wędrowiec szedł z sercem bijącém.
Jakże mu nie drżéć? W bagnisku co pluszcze,
W echu co huka, w rozłomach co trzeszczą,
Słyszał wyraźnie głosy leśnych bogów,
A ich obecność była mu złowieszczą.
Człowiek naonczas miał w żywiołach wrogów.

Kraj nasz był jednym niezmierzonym lasem.
Po nim drapieżne hulały zwierzęta,
A mgła wyziewów pod słońcem rozpięta,
Tłoczyła piersi. Człowiek, tylko czasem
Wyprosił sobie jakie gniazdko małe.
Ilekroć stawał z siekierą pod drzewem,
Truchlał przed mściwym bogów leśnych gniewem.
Dla przebłagania, święcił im na chwałę
Nietknięte gaje. Tak zakląwszy dolę,
Z latami, wązką wykarczował rolę.
Jak oblężony w chwiejącéj zagrodzie,

Drżał czy mu wilki nie plądrują w trzodzie,
Czy mu niedźwiedzie nie burzą pasieki,
Stert nie unoszą rozhukane rzeki?
Owad zrojony w topielnym zamęcie,
Tysiącznėm żądłem ścigał go zawzięcie.
Sępy w powietrzu, tury śród manowców,
Niebo i ziemia, wieczyście się biły.
A grzązkie drogi stały jak mogiły,
Znaczone kośćmi niebacznych wędrowców.

Co za szum dziwny wionął po dąbrowie?
Podróżny spojrzał i przeszło go mrowie.
Pijany trwogą, nie może się ostać,
Pada o ziemię czołem niewolnika,
Patrzy raz jeszcze, znów oczy przymyka.

Cóż ujrzał? Z gąszczu wysuwa się postać,
Do chmur wysoka, cała spowinięta
Falą wichrzystą, złotawo-zieloną.
Nad głową, kruki, sowy i orlęta,
Z krzykiem wirują rozprysłą koroną.
Łudzące czary majaczeją z lica,
W czole się zmierzcha groźna tajemnica.

Jak w dobréj doli jest chyżym lot czasu,
Tak widmo szybko przefruwa przez gaje,
Lecz z owéj grozy człowiek je poznaje,
To on: Duch lasu.

O... jeszcze szumi po drzewach... W tym szumie,
Wędrowiec śpiewkę zwycięzką rozumié:

»Święto wam ogłaszam! Święto!
»Póki człowiek nie dorośnie,
»Póki wieńca nam nie zdjęto,
»Hej ! Obchodźmy w każdéj wiośnie,
»Naszego wszechwładztwa święto!«

Bór na to hasło zadarł pyszną głowę.
Drzewa porwane w ruchy orkanowe,
Klaszczą gałęźmi, chwieją się szalenie.
Ptaki pląsają chmurą świergocącą,
Płazy ze świstem tańcują w pierścienie,
Pluskliwym śmiéchem źródliska się mącą,
Żubry i rysie, zbite do gromady,
Zawodząc ryki zwycięzkie i wycia,
Skaczą dziwacznie. Nawet grzyb z ukrycia,
Złośliwie strząsa rdzawokraśne jady.

W tym opętanym przyrody sabbacie,
Wszystko się cieszy, prócz karła-człowieka,
Co skronie cisnąc pięściami, ucieka,
Dopada progu, zamyka się w chacie,
I drży.

Aż powstał z podniesioném czołem.
— »Po co« posępnie zapyta, »pierzchnąłem?
»Wszak i ja w sobie czuję moc tajemną?

»Los się przesila! Kiedyś przyjdzie chwila,
»Że nie ja zadrżę przed ślepym żywiołem,
»Ale świat zadrży przedemną.«

* *
*

I oto dzisiaj, podróżnik wesoły,
Idzie śpiewając po zrzedniałym lesie.
Gdzie tylko echo głos jego zaniesie,
Liście się trzęsą, truchleją żywioły.

Jakże im nie drżéć? Ród cienistych bogów,
Napotkał w ludziach nieprzełomnych wrogów.
Kraj się rozlega niezmierną równiną,
Gdzie kłosy morzem złotodajném płyną.
Ziemia wioskami jak trawą porasta,
Kamiennym lasem wybujały miasta.
Drapieżnych zwierząt szukaj po zwierzyńcach,
Niejedno przeszło w bajeczne już dziwo.
Strach nie śmié chodzić po białych gościńcach,
Gdzie para pędzi wywijając grzywą.

Człowiek Tytanem rozparł się na świecie.
Jak chce, żywioły do jarzma nagina.
Przyszła dla niego odwetu godzina.
Cóż, kiedy miary nie zaznał w odwecie?

Z dymem, plon wieków! Dla kuźnic olbrzyma,
Trzeba paliwa. Szaleje siekiera —

Starodrzew jęczy — puszcza obumiera —
Gaju świętego pod słońcem już niéma!

Co za kształt mignął w oczach podróżnika?
Czy to Duch lasu? To cień jego raczéj!
Ludzkiego wzroku jakby zbieg unika,
Skroń ma strzaskaną piorunem rozpaczy.
Ów płaszcz bezmierny gdzieś rozwiał się wszy-
[stek —
Na sercu tylko ciśnie zwiędły listek —
Wlecze się zwolna jak czas dla boleści,
I konającym podmuchem szeleści:

»Oto nadszedł wiek żałoby.
»Wprędce ludzie świat przemienią
»W same łany, lasów groby.
»Z beznadziejną tą jesienią,
»Opłakujmy dzień żałoby!«

Las się podrywa, zielony włos targa,
Wszystkie gałęzie załamują ręce,
Krynice łkają, i głosy ptaszęce
W niebo jak jedna wylatują skarga.

A ty wędrowcze? Jéśliś synem piéśni,
Lub rozkochanym przyrody badaczem,
Wzruszą twe serce ci płaczkowie leśni,
I ty pod drzewem zatrzymasz się z płaczem.

Lecz jeśli duch twój nic już nie rozumie
Z głosów przyrody, pójdziesz w dalszą drogę,
Ni się domyślisz że łzy są w tym szumie,
A las ci szemrząc tę rzuci przestrogę:

»Do twéj litości prawo utracone —
»I jam się nie dał rozbroić twym głosem.
»Lecz ci powtarzam: szanuj mą koronę,
»Przez litość nad własnym losem.

»Spojrzyj na państwa starożytnych czasów:
»Były podobne sadowi złotemu,
»Dzisiaj z nich żółte pustynie. I czemu?
»Topór im zdjął wieniec lasów.

»Liściowe mury są warownią świata.
»Z murów upadkiem, padł i dom człowieka —
»Piasek go zalał — orkan po nim lata —
»Deszcz z jego nieba ucieka.

»Dziś inne kwitną. Ale i tym krajom,
»Jeśli ja zniknę, pustynia zagraża.
»Kapłanie ziemi, strzeż twego ołtarza,
»I przywróć świętość jéj gajom.«

1866.

OCZEKIWANIE.

(Z NIEWYDANÉJ POWIEŚCI).

Wicher gra jak na organie.
Białe snują się zamiecie.
Niéma większéj troski w świecie,
Nad oczekiwanie!

Choć w zawiei nie znać słońca,
Ja wychylam się na ganek,
Tam przestoję cały ranek,
Wyczekuję gońca.

Noc nadeszła, — cóż przyniosła?
Mróz krzaczysty ścieram z szyby,
I na gwiazdy patrzę niby,
A wyglądam posła.

. . . .

Szeleściły zżółkłe liście,
Gdyśmy, z bólu skamieniali,
Na czas długi się żegnali, —
Ale nie wieczyście!

Pobłogosław jemu Boże!
Powodzenie daj mu z chwałą, —
A co wczoraj się nie stało,
Jutro stać się może.

Nie zapomnę owéj chwili.....
Od bladości był aż biały.
Myśmy łzy nie uronili,
A serca pękały.

Tkwiąc u ręki jego lewéj,
Sokół kręcił się złocisty.
— »Przezeń« mówił, »do méj dziewy,
»Będę ja słał listy.«

Ach, jam ufnie uwierzyła!
Na wronego siadł konika,
Z ganku widzę: jak sen znika.....
Znikła moja siła.

. . . .

Obraziła-żem anioła?
Czy mię zaklął guślarz jaki?
Przelatują wszystkie ptaki,
Wszystkie, prócz sokoła!

Wiem że pisał do przyjaciół,
O mnie jednéj zapomina.
Czy się w żalu gorzkim zaciął?
Smutnaż ja dziewczyna!

Za co w żalu? Za co w gniewie?
Ni ja zdradną, ni obłudną,
A on milczy! Ach czyż niewié,
Jak to czekać trudno?

Cóż ja winna winie losów?
Niebo dzieli nas niezłomnie.
Niech nie pisze do niebiosów,
Lecz na ziemi, do mnie!

Ach niech pisze i do nieba!
Może wolę jego zmieni?
Wiele modlić się tym trzeba,
Co są rozłączeni.

Jak gromnica smutnie pałam,
W obłok wrosłam już oczyma.
Tyle niedziel przeczekałam,
A sokoła niéma!

. . . .

Co tak leci? To nie sokół,
To skowronek, gość radosny,
Szklanne dźwięki sypie w okół,
Przepowiednie wiosny.

O szczęśliwy kto skrzydlaty!
Ach, on właśnie leci w strony,
Gdzie go uniósł depcąc kwiaty,
Jego konik wrony.

Niech cię wiedzie słonko złote!
Niech cię srebrne gwiazdy strzegą!
Weź skowronku mą tęsknotę,
I z nią leć do niego!

Leć i wszystko mów mu szczerze:
Jak ja czekam niecierpliwie,
Jak się lękam, jak się dziwię,
I wątpię, i wierzę.

. . . .

Mój skowronek skinął główką.
Spokojniejsza już zostanę.
On poniesie moje słówko,
Choć nie w list wpisane.

. . . .

Teraz, czekać mam roztropnie.
Wezmę igłę, stłumię trwogi.
Wiem że trzeba z dobę drogi,
Nim ptak celu dopnie.

. . . .

Już tam pewnie jest skowronek.
On wziął piórko, kreśli słowa —
Wstążka wiąże się różowa —
Znów dla gońca dzionek.

. . . .
. . . .

No, już teraz dość czekania.
Dnie mi dłuższe od stuleci.
Co po chmurach tak się słania?
Sokół z nieba leci!.....

Otwierajmyż mu okienko!
Uwolnijmy z węzła szyję!
Przewiązany wstążką cienką,
Biały liść się wije.....

Daj, co miłość mi przysyła!
Niech na listku usta złożę.
A Ty wybacz dobry Boże,
Jam o nim wątpiła!.....

1866.



PRZYPISY.

PRZYPISY
DO TOMU PIERWSZEGO.

Str. 9.

Krucjaty.

Krucjaty zostały napisane w skutku rozmowy z osobą wielce wykształconą i wymowną, ale która twierdziła, że na odżywienie dawnéj wiary i zapału w narodach, niéma skuteczniejszego środka, jak przedsięwzięcie nowych wypraw krzyżowych do Palestyny. Autorka, zagadnięta o wyjawienie i udowodnienie swego zdania, będąc wówczas bardzo nieśmiałą w rozmowie, wolała odpowiedziéć napisaniem powyższego wiersza.

Kamienie.

Str. 53. Czasem, nić grubą ciągnąca z wrzeciona,
Chłopka go kryje za zgrzebłem koszuli.

Słynne są wyrazy Mikołaja Flamel'a, który tłumacząc, jak znalezienie Kamienia Filozofalnego jest łatwém i prostém dla ludzi umiejących brać się właściwie do rzeczy, powiada:

„Qu'une femme filant fusée,
„N'en serait du tout détournée".

Str. 61. Samoświecące Bonońskie kamienie.

„Tak zwany kamień boloński, który po wyprażeniu w ogniu, w ciemności świeci, iest... odmianą siar-

czanu barytu. Pewny szewc włoski nazwiskiem Garasciolo, znalazłszy ten kamień w Monte paterno, niedaleko Bononii, wniósł z ciężaru że się w nim cząstki metalu drogiego ukrywaią. Długo zatém prażył go na ogniu chcąc mniemany kruszec wytopić, lecz postrzegłszy daremne usiłowania, zaniechał przedsiewzięcia i z domu go wyrzucił. Wkrótce potém blisko niego w nocy przechodząc, uyrzał cały kamień w iasności, otoczony warstwą pięknego światła. Znowu go zatém wziął do siebie i powtórnie palił, a po wielu bezskutecznych usiłowaniach, oddał go wreszcie do Akademii Bonońskiey, którey nauczyciele dali mu nazwisko bonońskiego kamienia". **Wiadomości z nauk przyrodzonych dla użytku szkoły Guwernantek** przez *Antoniego Wagę* Professora Szkoły Wojewódzkiéj Warszawskiéj — z Figurami — w Warszawie — Nakł. i Drukiem A. Brzeziny — 1826 — Tom I — Str. 297. Dzieło dawne ale szacowne, bo prócz wiadomości naukowych, zawiera dosyć dużą liczbę anegdot historycznych, legend i osobliwości.

Str. 61. . . . . To prześliczna Mika,
Swoje skrzelowe tafelki odmyka.
. . . .
Żeglarz ją wprawia w okienko kajuty.

„**Mika.** ...Massy iéj równie iak i kryształy, złożone są z wyraźnych blaszek, na które prawie do nieskończoności dzielić się daią. Blaszki miki... są giętkie i sprężyste. W Syberyi znayduią się naywiększe kryształy miki, z których oddarte blachy, czasem na łokieć szerokie, używane są w Irkucku i innych sybirskich miastach na szyby do okien. Robią z niéy także okna w okrętach, ponieważ mocą swéy sprężystości wytrzymuie najsilnieysze wstrząśnienia sprawione od huku dział okrętowych. **Tamże** — Tom I — Str. 270.

Str. 64. W téj oto bryle majaczy „Obłoczek".
. . . . To „Włosy Wenery!"

„Czasem w massie przezroczystego kryształu, zawarte są drobne białe i iak iedwab' połyskujące włókna

amiantu; takie kawałki kryształu, u amatorów otrzymały nazwisko włosów Wenery, i dla rzadkości drogo się płacą... Z wielkich i zupełnie przezroczystych mass kryształu górnego, wyrabiaią różne naczynia szklanym podobne... W przezroczystéy massie jego zawsze prawie dostrzedz się daią mniéy więcéy wyraźne obłoczki, niby delikatne płatki rozciągnięte. gdy tymczasem szkło okazuie natomiast drobne bańki powietrza; ta różnica może być dostateczną do rozpoznania naczyń z dwóch podobnych sobie materyałów wyrobionych". **Tamże** — Tom I — Str. 257.

Str. 70. . . . . To Kocie Oczy,
Śledzą nas białkiem latającéj plamy.

„Z kraiów wschodnich... a mianowicie z wyspy Ceylon przychodzi do nas wpół-przezroczysty, szary, zielonawy lub żółtawy agat, iuż szlifowany w kształt owalnych, z iednéy strony płaskich, z drugiéy wypukłych oczek do pierścieni, tę szczególną własność maiących, że rozmaicie nakłaniane ku światłu, ukazuią w sobie przebiegaiącą z mieysca na mieysce świetną plamę, i dla tego kamień taki kociém okiem nazwano". **Tamże** — Tom I — Str. 263.

Str. 71. To Hjacynt, lekarz niegdyś zawołany.
. . . . On umié, obwiązką z purpury,
Wyrabiać jady, przytępiać żelaza.
Przed nim pioruny wracają do chmury,
I czarno-skrzydła ucieka zaraza.

„**Hyacynt** ma kolor czerwono-żółty sobie właściwy. ...Używa się, iako kleynot do ozdób. W czasach, w których zabobonność, wielu istotom nadzwyczayną moc, własności i skutki przypisywała, hyacynt noszony był na szyi, iako naypewnieysza i bardzo skuteczna ochrona od zaraźliwych chorób; nadto kamień ten miał na woynie dodawać odwagi, bronić od ran i śmiertelnych pocisków; w życiu domowém zasłaniać od piorunów, pomnażać bogactwa, zaszczyty, rozsądek i mądrość". **Tamże** — Tom I — Str. 215

Str. 71. Daléj Beryle . . . .
Przenoszą szkliste, długoszyjne dzbany,
Po brzeg od morskiéj mieniące się wody.

„**Beryl** iest... zielonego koloru... Bywa nayczęściéj krystalizowany nakształt różnéy grubości i długości prętów. Znaydowano kryształy berylu na ćwierć łokcia grube a na łokieć długie... Nazywaią go także **wodą morską** (aqua marina)". **Tamże** — **Tom I** — **Str.** 247—48.

Str. 72. . . . . Turmalin.
Płaszcz na nim czarny o tłach z axamitu.
Ale się strzeżmy tych zdradnych jedwabi,
To kamień fałszu. Magnetyczna siła,
W zimne mu piersi dwa prądy puściła;
Dotknięty, razem odpycha i wabi.

„**Turmalin**, jest-to ważny minerał, z przyczyny swych szczególnych własności fizycznych, odnoszących się zwłaszcza do elektryczności i polaryzacyi światła. W przyrodzie trafia się najczęściéj w postaci graniasto-słupów pręcikowych, aksamitno-czarnéj barwy, nieprzezroczystych i podłużnie krésowanych, które mają tę szczególną własność, że za ogrzaniem, elektryzują się w jednym końcu dodatnio, a w drugim ujemnie". **Encyklopedyja powszechna Orgelbranda** — **Tom XXV** — **Str.** 746.

Stronnice 69—74—75—78—80.

Rozmaite owe legendy przytoczone w opisie Klejnotów, (jako to: że Bursztyny są zeschłemi „łzami ptaków", — że Korale, nienoszone, bledną i „chorują", — że Ametyst broni od pijaństwa, — że Szmaragd oślepia węża, — że Turkus użyty przy zaręczynach, sprowadza zerwanie zamierzonych związków, i że najlepszym jest w takim razie Rubin, — że Opal przynosi nieszczęście, — że Brylant dostaje skaz, jeśli nas jego dawca zdradza) nie potrzebują poparcia xiążkowych źródeł, bo są powszechnie znane, jako wieści albo przestrogi, które od niepamiętnych czasów, przechowały się w ustnéj tradycji narodów.

Pierwszy widok morza.

Str. 100. To Cuxhaven! To przystań i morska Latarnia!

„**Cuxhaven**, wioska w okręgu hamburskim Ritzebuttel, na lewym brzegu Elby, przy samém jéj ujściu, liczy 400 osady, wyborny port, komora celna i budynki kwarantanny, oraz kąpiele morskie bardzo uczęszczane. W średnich wiekach, Cuxhaven było gniazdem niebezpiecznych korsarzy, wreszcie miasta Hanzeatyckie, mianowicie Hamburg, znudzone tak szkodliwém dla handlu sąsiedztwem, przedsięwzięły przeciw łupieżcom formalną wyprawę; zdobyły zamek, którego szczątki dotąd istnieją, a całe terytoryjum zakupione od właściciela, poszło na własność miejską Hamburga“. **Encyklopedyja Powszechna** Orgelaranda — Tom VI — Str. 13.

Góry.

Str. 111. Czy te widziałaś bazaltowe stropy,
Gdzie się zielona zataczając fala,
Szeleści imię Fingala?

„**Fingala** (grota). Na południowo-zachodnim krańcu Hebrydzkiéj wyspy Staffa, znajduje się szereg kolumn bazaltowych, wysokich na 70 stóp, tworzących z natury trzy groty, z których najwyższa nosi miano groty Fingala, ponieważ bardowie szkoccy utrzymują w swych pieśniach, że tam przebywał wielki ów rycerz. U wnijścia groty przedstawia się oku wędrowca najwspanialszy widok. Pieczara długa na 270, wysoka na 68, a szeroka na 105 stóp, składająca się z olbrzymich kolumn bazaltowych prostych, jednolitych, podobnych do piszczałek piramidalnych organów“. **Tamże** — Tom VIII — Str. 899.

Str. 112. Czy te słyszałaś echa Pauzylippy,
Co powtarzają przekleństwa Dydony?

„**Pauzylippo**... góra pod Neapolem, sławna ogromną grotą (la grotta di Pausilippo), która mając wysokości

od 80—90. szerokości od 24—30 stóp, a długości do 1,000 kroków, w prostéj linji z Neapolu do Puzzuolo prowadzi. W tém obszernėm, lampami oświeconém sklepieniu, przechodzą nieustannie podróżni. Galeryja ta już za czasów Rzymian istniała... Nad grotą znajdują się szczątki tak nazwanego Grobowca Wirgilijusza". **Tamże** — Tom XX — Str. 473.

Podanie téż miejscowe przypisuje przebicie owéj grotty Wirgiljuszowi, który miał potęgą magji sprawić takie dziwo, lud bowiem tamtejszy poczytuje Wirgiljusza nie za poetę, ale za czarodzieja, i nie myli się w gruncie rzeczy, tylko niewié, że całą magją owego czarodzieja, była właśnie jego poezja.

Str. 112. *Czy wiosłem cięłaś różowe polipy*
Ciepłego morza, co bije pokłony,
Pali fosfory, i perły roztrzęsa,
Pod śpiewającą grottą Kamoensa?

„Na najwyższym punkcie przesmyku, łączącego Makao ze stałym lądem chińskim, po dziś dzień jeszcze pokazują tak zwaną grottę Camoënsa, z któréj ukazuje się zachwycający krajobraz; w téj to grocie, jak niesie podanie, napisał on wielką swoją epopeję narodową Os Lusiadas, to jest Luzyjady. czyli Luzytanie (Portugalczycy). **Tamże** — Tom IV — Str. 820.

I tak, wszystkie trzy wymienione tu jaskinie, wiążą się z pamięcią poetów: Ossjana, Wirgiljusza i Kamoensa. Z tego téż powodu, na końcu strofy, grotty są nazwane: „marzeń namiotem".

Str. 117. *Kiedy nad góry Alwerneńskiej łonem,*
W dzień Męki Pańskiéj cudownie rozpadłém,
Frańciszek, z licem na wskroś prześwietlonėm,
. . . .
Pięcio-promienne przejmuje stygmaty.

„Przed samém odejściem z Alwernii, raz jeszcze Frańciszek obszedł całą górę, którą bardzo polubił, gdyż było to z miejsc zajmowanych przez Braci, najsamotniej-

sze... a ztąd najsposobniejsze do życia bogomyślnego... W téj powtórnéj swojéj po pustyni onéj wycieczce, nadszedł na miejsce, w którém widok nadzwyczajnéj wielkości skał, poodrywanych i zawieszonych jakby w powietrzu, nad bezdennemi przepaściami, a w skałach widok ogromnych rozpadlin, które nie zdawały mu się naturalnemi, wprawił go w wielkie zdumienie. Ukląkł i począł się modlić, aby mu Pan Bóg objawić raczył, czy tak gwałtownego odłączenia się skał tych, od miejsc w które były wrośnięte... przyczyną było trzęsienie ziemi, czy inne jakie zjawisko natury? A wtedy okazał mu się Anioł, i oznajmił, że skały te poodrywane zostały i popękały się, podczas śmierci Chrystusa Pana na krzyżu, i że by!y to jedne z tych, o których mówi Ewangelia, wspominając szczegóły krzyżowéj śmierci Zbawiciela: i porozpadały się skały (Mat. 27. 51). . . . . Piszą téż współcześni mu kronikarze jego życia, że z tego to powodu mąż Boży odtąd tak wielkie miał do téj góry nabożeństwo... I słusznie przydaje jeden z tych dawnych pisarzy, że w istocie przystało miłosierdziu Bożemu tak opatrznie tém wszystkiém pokierować, aby na téj górze popękały skały podczas Męki Pańskiéj, na któréj, na ciele najświętszego sługi Jego, znamiona téjże Męki Zbawicielowéj cudownie wyryte, żywy jéj wizerunek oczom ludzkim na nowo miały przedstawić". **Żywot Świętego Frańciszka z Assyżu** przez O. Prokopa Kapucyna — Kraków — Druk. Korneckiego — 1876 — Tom pierwszy — Str. 444–45.

Str. 119. *Oto Ezechjel wzlatuje nad czarną*
Przepaścią. . . . .
. . . Tam prosto, pod gwiazdą polarną,
Góra Kaf świeci, „Góra Elohimów".
. . . . .
W krąg stoją mury z ognistych kamieni,
Twarde jak brylant, żarzące jak rubin.
Brama otwarta, lecz pełna płomieni;
Z miecza i z oczu je miota Cherubin.

Jan Godfryd Herder (pisarz wielce uczony i świetny, ale którego trzeba zażywać z ostrożnością, gdyż strasznie

po świecku szasta świętościami), w swojém osobliwszém studjum nad „Cherubinem", pisze ciekawe rzeczy z powodu owego ustępu Ezechjela, i tak zwanéj „Góry Elohimów".

„Ezechiel (chap. 28 vers. 14) donne le titre de chérubin au fier roi de Tyr, qui habite l'Eden, le jardin des Elohims sur la montagne sacrée, oú il marche à travers des pierres enflammées. . . . L'éclat des pierres précieuses lui sert de parures, son existence est un long jour de bonheur, et il se montre à nous dans ses oeuvres comme une créature parfaite, mais fière. Ces exemples suffiront pour nous prouver quelles étaient dans le monde antique et chez les Orientaux de cette contrée, les figures d'animaux consacrées à servir de symbole à la magnificence et à l'orgueil (?), et qui devaient nécessairement entrer dans la composition des cherubins. Il est incontestable que ces figures d'animaux étaient le lion, le taureau, l'homme et l'aigle. . . . Les Orientaux croyaient à un animal ailé qui avait choisi sa demeure sur le mont Kaf, et qui soutenait de longues et rudes guerres contre les géants du monde primitif. C'était un animal raisonnable et religieux (!); il parlait toutes les langues, il avait la sagesse du sphinx, la ruse des griffons, et gardait les trésors du Paradis. En un mot, c'était une des plus merveilleuses créatures de Dieu, que l'on ne pouvait vaincre ni par la force ni par la ruse. . . . On trouve dans les traditions de tous les peuples sur ce sujet une foule de données, dont la plupart ne sont point sans probabilité. Toutes confient au Chérubin le soin de garder l'arbre de vie, l'arbre de l'immortalité. . . . Ezechiel et tous les dires de l'Orient nous prouvent, que les Chérubins des Orientaux habitaient une montagne, où ils se promenaient à travers des pierres enflammées. Cette montagne fait partie du groupe des monts de l'Asie, derrière lequel se cache le Paradis; et elle se trouve dans la même contrée où Moïse place son paradis à lui. . . . Quelques'unes de ces traditions, adoptées par la poésie hébraique, placent vers le nord cette montagne habitée par des dieux, des Lahes, des Elohims". **Histoire de la poésie des Hébreux** par Herder — trad. par la Baronne A. de Carlovitz — Paris — chez Didier — 1846 — Pages 132 et suiv.

Str. 119. *To Enoch, świadek złych dni najcnotliwszy,*
Co umiał z Panem pozostać w przyjaźni.
Sam Pan go niegdyś płaszczem zasłoniwszy,
Z przedpotopowéj uprowadził kaźni,
I raj do czasu dał przyjacielowi.
Lecz skoro ziemia obumierać pocznie,
Do ludzi gorszych niż przedpotopowi,
Każe mu wrócić.

„Pour désigner le sort des favoris de Dieu dans l'autre monde, on disait: Dieu l'a pris avec lui, Dieu l'a reçu dans sa demeure. Ces locutions ne pouvaient tirer leur origine que de la disparition d'Enoch, et elles se rapportaient toujours à ce premier ami de Dieu. Il vivait à une époque de perversité, et se montra défenseur ardent de la gloire de l'Eternel. Selon toutes les probabilités, il fut honni et persecuté, comme le fut plus tard le prophète Elie, à qui Dieu accorda une faveur à peu près semblable; si l'introduction d'Enoch dans la demeure céleste fut moins brillante, il est certain du moins, qu'elle fut accompagnée de marques visibles de la protection de Dieu. C'est ainsi que Saint Paul interprète le passage qui raconte ce fait; c'est ainsi que le dernier livre des saintes Écritures (l'Apocalypse) le reproduit par l'image des deux témoins qui montent au ciel sur une nuée; c'est ainsi enfin que tout l'Orient l'a compris. Les Arabes ont une foule de fables sur la sagesse et la piété, sur le zèle et la puissance prophétique d'Idris, nom par lequel ils désignent Enoch. Ces fables peignent l'isolement dans lequel il vécut, et les persécutions que les méchants lui firent subir, jusqu'au moment où Dieu l'appela et l'installa à côté de lui dans son Paradis. D'autres peuples le placent sur le haut de l'Albordi, sur ce mont brillant où se réunissent les Dieux; et dans toutes ces traditions, on le met en rapport journalier, non avec Jehovah, mais avec les Elohims". **Tamże** — pag. 161 et suiv.

„**Enoch** albo **Henoch**, siódmy patryjarcha od Adama, syn Jareda, urodził się roku 622 od stworzenia świata... Pismo Święte mówi, że Enoch „chodził z Bogiem", to jest żył według woli Bożéj, czyli podobał się Bogu, i że „wziął

go Bóg i nie było go widać"; zkąd wnoszą, że nie umarł, ale żywo był przeniesiony do raju ziemskiego (I. Mojż., 21–24). To przeniesienie wymieniane jest w wielu kalendarzach pod dniem 3 Stycznia". **Encyklopedyja powsz. Orgelbr. — Tom VIII — Str. 314.**

„Seth avait laissé des descendants qui marchèrent comme lui dans les sentiers de la justice et de la vertu. Adam, dans un esprit prophétique, leur avait annoncé qu'avant de périr par le feu dans une catastrophe finale, le monde serait ravagé par les eaux d'un déluge universel. Mais cette voix ne fut pas écoutée par les enfants des hommes. Le patriarche Hénoch, digne fils des Saints, fit retentir sur la tête des coupables les menaces de la vengeance divine, comme on le voit d'après l'Epitre de saint Jude. (Vers. 14–15). Cet appel à la pénitence se fit entendre au monde pendant trois siècles (żył bowiem pomiędzy ludźmi od r. 622 do 987 od stw. św.), puis la voix prophétique se tut sur la terre; Hénoch ne reparut plus au sein de ces générations corrompues: Dieu l'avait enlevé du milieu de tant d'iniquités et de crimes, et nul, dit Josèphe, n'a jamais rien écrit de sa mort." . . . . „En récompense de sa foi, dit saint Paul, Hénoch fut enlevé de ce monde pour qu'il ne souffrit pas la mort. Il ne se retrouva plus, parce que le Seigneur l'avait enlevé. Mais, avant cette translation, il avait mérité le témoignage que lui rend l'Écriture, d'avoir été agréable à Dieu". Epist. ad Heb. XI. 5. — „Hénoch, dit l'auteur de l'Ecclesiastique, plût au Seigneur; il fut transporté dans le Paradis, pour revenir prêcher la pénitence aux nations". XLIV. 16. — „Les Pères de l'Église s'accordent tous dans ce sentiment, et ils appliquent à Hénoch et à Elie le passage de l'Apocalypse où saint Jean nous enseigne, qu'aux derniers jours du monde, ces deux témoins du Seigneur reparaîtront au milieu des hommes, pour combattre, dans une lutte suprême, l'Antechrist et ses milices impies." **Les Petits Bollandistes** ou **Vies des Saints** — par M-gr Paul Guérin — Septième édition — Paris — chez Bloud et Barral — 1880 — Tome premier — page 110. — Pod dniem 3-go Stycznia.

Str. 120. *Ówdzie, Rycerze „okrągłego stołu“,*
Zakuci w łuskę, pod wodzą Artusa,
Ruszają z głębin łzawego padołu,
Aby odnaléźć tajną Krew Chrystusa.
Arymatejczyk, z przebitego Boku,
Zebrał ją niegdyś, i wszelkiemu oku
Daleko ukrył na „Górze Salvatu“.
Stoi tam, skrzepła, w roztruchanie „Gralu“.

„**Greal** albo **Gral**, starożytny wyraz celtycki, oznaczający statek płaski. W poematach wieków średnich, często jest mowa o św. Gralu. . . . Strzegli go mężowie święci . . . w nieprzystępnéj świątyni, na szczycie wyniosłéj góry . . . Prowansal Guiot pomiędzy r. 1160 a 1180 napisał na téj osnowie obszerny poemat; po nim Krystyjan Troyes i inni trubadurowie pomieszali to podanie z legendą o królu Artusie i okrągłym stole, wreszcie z podaniami o Apostole Celtów, św. Józefie z Arymatei. Utrzymują oni, że święty Gral był to półmisek, na którym Chrystus błogosławił baranka w czasie ostatniéj Wieczerzy, że następnie Józef zabrał ten półmisek, a w czasie Męki Zbawiciela zebrał nań krew i wodę, spływającą z ran i boku Pana. Po rozejściu Apostołów, Józef udał się do Anglii, półmisek miał z sobą, a gdy z czasem zaginął, rycerze postanowili odszukać nieoszacowany ten przedmiot. Przygody ich w czasie poszukiwań, posłużyły za tło do wielu rozmaitych utworów romantycznych. Wolfram Eschenbach pisał na téj osnowie poemat niemiecki w XIII wieku. Legenda Klinsor'a i Lohengrin'a, jest także w związku z historyą świętego Grala“. **Encyklopedyja powsz.** Orgel. — Tom X — Str. 598.

Autor pominął tutaj tylko wiadomość, że ową „górę wyniosłą“, na któréj szczycie ukryty był święty Gral, poeci z Artusowego cyklu nazywają „górą Salvatu“.

Trzeba także dodać uwagę, że podania o kształcie owego świętego naczynia bardzo się między sobą różnią. Wielu pisarzy widzi w niém nie półmisek, ale kielich użyty przy ostatniéj Wieczerzy Pańskiéj.

„**Greal.** On appelle dans la légende le Saint-Gréal un vase mystique que l'on prétend être celui même dans lequel était contenu le vin que but le Sauveur à la der-

nière Cène. . . . . Ce vase aurait été conservé par Joseph d'Arimathie et transporté par lui dans la Bretagne (Angleterre); il conférait à celui qui le possédait toutes sortes de privilèges merveilleux. Le Saint-Gréal joue un grand rôle dans les romans des chevaliers de la Table-Ronde; ces chevaliers firent plusieurs expéditions à la recherche de la précieuse relique". **Dictionnaire universel d'Histoire et de Géographie par M. N.** Bouillet — Paris — chez Hachette — 1843 — Pag. 740.

Str. 120. Tu Katarzyna Emmerich, przejrzysta Sybilla Krzyża.

Czasy nasze, tak często pomawiane o „brak cudów", i o „brak świętych", wydają się takiemi tylko dla tych oczu, które nie patrzą głębiéj w bieżące roczniki duchownego życia. Są i w naszych czasach postacie, koronne niebiańską aureolą, oślepiające blaskiem cudowności. Do takich postaci należy niezaprzeczenie Anna Katarzyna Emmerich. urodzona w roku 1774-ym, z rodziców ubogich wieśniaków, od lat dziecinnych pasterka. późniéj zakonnica Augustjanka w miasteczku Dulmen w Westfalji, ubogacona łaską Stygmatów, oraz wielu innych nadprzyrodzonych darów, a nadewszystko bezprzykładną potęgą i ciągłością widzeń. Po długim szeregu cierpień i prześladowań, znoszonych zawsze *dla* drugich, lub *za* drugich, zakończyła swój błogosławiony i prawdziwie męczeński żywot w r. 1824-ym. Dotąd jeszcze nie jest kanonizowaną, ale wolno żywić nadzieję, że kiedyś dostąpi téj chwały, która naszemu dziewiętnastemu wiekowi nada w przyszłości więcéj blasku, niż wszelkie inne jego, czysto-ziemskie chluby.

Tymczasem, xięgi zawierające jéj wizje, (wiernie spisane przez Klemensa Brentano), opatrzone upoważnieniem Biskupów, i gorąco polecone wiernym do czytania, stanowią nieprzebrany skarbiec, którego dzisiejsze pokolenia jeszcze nie oceniły dostatecznie. Najlepszy znawca tych przedmiotów, Görres, mówi w swojéj Mistyce:

„Katarzyna Emmerich... nietylko była obecną Męce Zbawiciela, ale przez całe trzy lata, krok w krok chodziła za nim po wszystkich Jego drogach. przebiegała z Nim

razem wszystkie okolice Palestyny. Wtedy mogła najdokładniéj rozpoznawać różne rodzaje gruntu, rzeki, góry, lasy; widywała mieszkańców rozmaitych krain, opisywała ich domy, ubiory, obyczaje, aż do najdrobniejszych nawyknień ich codziennego życia; wszystko to przesuwało się przed jéj wzrokiem w obrazach jasnych i wyraźnych. Nie dość na tém: czasem z powodu jakiéj miejscowości, osoby, lub którego ze świąt kościelnych, mogła zagłębić spojrzenie w przeszłość jeszcze nierównie dalszą; wtedy, od początku rzeczy do ich końca, obejmowała całe dzieje, pochwycone w jeden olbrzymi zarys, niby przepyszną religijną epopeję, która zstępując od nieba do ziemi, przebiega kolejno wszystkie epoki świata i losów człowieczeństwa.... Te wizje są w swoim rodzaju może najcudowniejsze, najbogatsze, najszersze, najgłębsze i najbardziéj porywające ze wszystkich, jakie duchowi ludzkiemu dano było kiedykolwiek oglądać". **Mistyka** — Tom Drugi — **Rozdział IX.**

Większa część czytelników, zwłaszcza w naszym kraju, zna tylko jéj opis Męki Pańskiéj, który został najwcześniéj drukiem ogłoszony. Ale dopiero jego połączenie z innemi tomami, tworzy tę niezrównaną całość, tę — rzec można — „boską historjozofję", która nigdy jeszcze przedtém nie była z równą jasnością ludziom pokazana. I nie dziw: dawniejsze wieki nie potrzebowały takich dobitnych odpowiedzi, ani tak szczegółowych wyjaśnień, bo jeszcze nie znały ani tak przepaścistych zwątpień, ani tak wytwornych zaprzeczeń, jak te do których doszedł czas obecny. Wié Opatrzność komu i kiedy ma co dawać.

Kto nie może czytać tego dzieła w oryginale niemieckim, znajdzie już wszystkie dotychczasowe*) jego tomy w przekładzie francuzkim, wydanym w Tournai i Paryżu u Casterman'a, a mianowicie: **La Vie de la Sainte Vierge,** un Volume — **Vie de N.-S. Jesus-Christ,**

---

*) Mówimy »dotychczasowe«, bo rękopisma pozostałe po Klemensie Brentano przedstawiają takie bogactwo materjałów, że od lat sześdziesięciu coraz nowe głowy i ręce pracują nad ich uporządkowaniem, a jeszcze nie zdołały wszystkich zużytkować. Jest więc nadzieja, że przyszłe wydania pomnożą się jeszcze niejednym cennym nabytkiem.

Six Vol. — **La Douloureuse Passion de Notre Seigneur**, un Vol. — **Razem tomów osiem.**

Daj Boże, abyśmy i w naszym języku mogli je czytać jak najprędzéj! Trudno zrozumiéć nawet, dla czego dotąd ich nie posiadamy? Na tyle rzeczy miernych lub szkodliwych znajdują się tłumacze, i to natychmiast, i to po kilku naraz, a takie pole olbrzymie, które przedstawia niewyczerpaną kopalnię studjów i zdobyczy, nietylko dla dusz pobożnych, ale i dla artystów, i dla archeologów, i dla myślicieli, leży u nas dotąd nietknięte.

Prawda, że tłumacz musiałby pierwéj dobrze obliczyć się ze swemi siłami; takie przedsięwzięcie winno być przeprowadzone z wielką nauką, ścisłością i uszanowaniem, a zwłaszcza bez żadnych skracań, bo główna wartość tych obrazów, leży w niesłychanéj obfitości malowniczych i objaśniających szczegółów. Koniecznie by téż było potrzeba gruntownie obrobić, i w jednym osobnym tomie zamknąć, wyczerpujący ale jednolity Żywot Katarzyny Emmerich, który w zagranicznych wydaniach, jest bardzo nieporęcznie rozstrzelony po różno-tomowych Przedmowach, Szkicach i Przypisach.

Praca byłaby niezaprzeczenie ogromną. Wszakże, po sumienném dokonaniu, mogłaby przynieść nietylko duchowe ale i doczesne korzyści, bo widzimy, że gdziekolwiek to dzieło zostało raz poznaném, tam już bez przerwy coraz szersze rozbudza zajęcie, i w coraz częstszych rozchodzi się wydaniach.

Str. 120. *Tu Katarzyna Emmerich . . . .*
. . . . po drodze z obłoków,
Idzie za wizją na „Górę Proroków“,
Gdzie złotowłosy Jan Ewangelista,
Oblany słońcem co nigdy nie blednie,
Pod rajską palmą leży pochylony,
Przerzuca xięgi przyszłe i poprzednie,
Rozważa wszystkich narodów zakony,
I porównywa wszystkie przepowiednie.

Katarzyna Emmerich wspomina w niejednym ustępie swoich wizji o jakiéjś górze tajemniczéj, którą zwie

Górą Proroków. Nie staje tu miejsca na wypisywanie wszystkich tych ustępów; najlepiéj podobno będzie, gdy przytoczymy tylko Dopisek, w którym Wydawcy streścili główne wiadomości odnoszące się do tego przedmiotu:

„La Soeur Emmerich donnait ce nom de Montagne des Prophètes, à un lieu élevé au dessus de toutes les montagnes de la terre, où elle fut transportée pour la première fois le 10 décembre 1819, et plusieurs fois après dans ses voyages extatiques. Elle y vit les livres prophétiques, les livres religieux de tous les temps et de tous les pays conservés sous une tente, examinés et gardés par un personnage qui lui rappela saint Jean l'Evangéliste et Elie, mais surtout ce dernier, parce qu'elle vit non loin de la tente, le char sur lequel il fut transporté au ciel, couvert d'une florissante verdure. Ce saint lui dit qu'il avait en depôt tous les livres de révélations qui avaient été donnés ou étaient destinés à l'homme, livres dont plusieurs n'étaient pas exempts d'altérations, qu'il en comparait le contenu à celui d'un livre qu'il avait à côté, enfin qu'il effaçait ou comdamnait au feu un grand nombre de passages.... La tente était dressée au milieu d'une île couverte de verdure, et baignée par un lac aux eaux limpides; on y voyait plusieurs tours, aux formes les plus variées, et entourées de jardins. Il lui sembla que ces tours étaient les arsénaux et les réservoirs de la sagesse de différentes nations, et que l'île même renfermait la source des fleuves considérés comme saints par les peuples, du Gange en particulier, lesquels apparaissaient au pied de la montagne. D'après son point de départ, elle devait toujours, pour arriver à la montagne des Prophètes, se diriger vers les hauteurs de l'Asie centrale. Elle observait la position, la température des pays qu'elle parcourait, les particularités relatives aus trois règnes, puis après avoir traversé un espace complètement solitaire et avoir, pour ainsi dire, pénétré dans la région des nuages, elle était transportée sur la montagne, dont on trouvera la description dans l'histoire complète de la Soeur, avec toutes les particularités de ces voyages extraordinaires. Au retour, après avoir été de nouveau transportée dans la région des nuages, elle traversait encore des pays, dont elle admirait la

riche végétation et les espèces animales étrangères à nos climâts; puis elle arrivait au Gange et observait, sur les bords de ce fleuve, les pratiques religieuses des Indiens.— La situation géographique de la montagne, et cette particularité que tout y était recouvert d'une admirable végétation, ont rappelé, à une personne qui lisait ces notes vingt ans après qu'elles avaient été recueillies, les traditions asiatiques touchant une montagne de ce genre, habitée également par un personnage mystérieux. Pour les Musulmans, le prophète Elie, qu'ils appellent Chiser, c'est à-dire le Vert, est un personnage mystérieux, à moitié homme et à moitié ange, qui habite dans les régions du nord le mont Kaf, si célèbre dans leurs livres tant religieux que poétiques, et là, à la source même de la vie, veille sur des choses mystérieuses, confiées à sa garde. Les Indiens et les Chinois placent également dans l'Asie centrale, où est suivant la Soeur Emmerich, la montagne des Prophètes, les uns, leur montagne sainte Mérou, et les autres leur Kuen-loun, dont les habitants n'ont rien perdu de leur félicité primitive. — Les anciens Perses avaient aussi une localité du même genre qu'ils appelaient El-bords ou Albordsch. On peut croire, d'après Isaïe (XIV, 13) que les Babyloniens avaient une croyance analogue. Que si, comme les Babyloniens et les Musulmans actuels, ils placent cette montagne au nord, la chose s'explique par leur position géographique relativement à la haute Asie. „Vie de la Très-Sainte Vierge d'après les méditations de la Soeur Anne-Catherine Emmerich — Recueillies par Clément Brentano — Traduction nouvelle — Sixième édition — Paris et Tournai — chez Casterman — 1878 — Note à la page 84-me."

Pomimo wszelkich objaśnień zawartych w tym Przypisie, czytającemu jeszcze nasuwa się mnóstwo pytań, mianowicie dwa: Czém jest właściwie ta „Góra Proroków?" I gdzie ona leży? — Czy ją trzeba odnieść do świata czysto-duchowego, rządzącego losami naszéj ziemi? — Czy też to tylko jest symbol? (Bo i takie obrazy znajdują się w wizjach Anny-Katarzyny). Symbol, w którym wszystko można wytłumaczyć allegorycznie, nawet i ten szczegół, że chcąc się tam dostać, trzeba najprzód wrócić do gór

środkowéj Azji, coby mogło znaczyć, że kto chce zrozumiéć przyszłość, musi zawsze wracać do kolébki wszelkich religijnych tradycji? — Czy téż to jest „góra“ rzeczywista, znajdująca się na któréjś planecie, lub na słońcu, lub na jakiéj gwieździe? I taki bowiem wniosek możnaby wyciągnąć z niektórych wyrażeń Siostry Emmerich, a mianowicie z ustępu pod nazwą: **Coup d'oeil sur Saint Jean après sa mort**, gdzie mówi:

„J'ai su... que son corps n'est pas sur la terre; on m'a montré vers le nord-est une région lumineuse, semblable à un soleil, et j'y ai vu l'Apôtre servant en quelque sorte d'intermediaire entre le ciel et la terre, donnant à l'une ce qu'il recevait de l'autre. Cet endroit m'a paru dépendre de la terre, bien qu'il soit placé au dessus d'elle et tout-à-fait inaccessible; j'ai vu aussi que le paradis terrestre est encore dans cette région, mais complètement séparé de ce qui l'entoure.... Cette fois-ci je n'ai pas aperçu l'endroit où se trouve l'Apôtre comme la montagne des Prophètes, parce que je n'y étais pas moi-même, mais comme un corps lumineux.“ **Vie de N.-S. Jesus-Christ** d'après les visions de la Soeur Emmerich — Paris et Tournai — 1879 — Tome Sixième — Page 200.

W każdym razie, ta Góra Proroków, „któréj na mappie nie znajdą uczeni“, istnieje gdzieś ne mappie Bożéj, a wzmianki o niéj, stanowią w opowiadaniach Katarzyny Emmerich jedno z owych dziwnych odchyleń zasłony, jakich tam spotykamy tak wiele, a które przed czytelnikiem niezupełnie ślepym, roztwierają całe światy niespodzianych odkryć, nieskończonych rozmyślań i przewidzeń.

Str. 121. *... Oto srebrny z obłoku rysunek*
Schodzi ne Karmel. Ach, to wizerunek
Matki Dziewicy, ach to Ona żywa,
Przed płonącemi oczami Eljasza,
Proroczym szkicem po niebie przepływa,
I w opalową się rosę rozprasza.

„Góra Karmelu położona w Ziemi Świętéj, nad morzem Śródziemném, jest jedną z najwyższych i najpiękniejszych gór w Palestynie. Jest-to miejsce z tego powodu

szczególnie ubłogosławione, że na niém po raz pierwszy, zaczęli ludzie oddawać cześć Matce Bożéj. i to nawet na lat dziewięćset przed przyjściem Pana Jezusa, i znowu tamże, już po przyjściu Syna Bożego na ziemię, pierwszy stanął na cześć Jéj kościół, a to wszystko w ten sposób: Był w narodzie Żydowskim wielki i święty Prorok, Eliasz. Ten, jak to zwykłém było Prorokom ludu wybranego, unikając stosunków ze światem i oddając się bogomyślności, obrał sobie samotne mieszkanie właśnie na górze Karmelu, i tam z uczniem swoim świętym Elizeuszem i wielu innymi podobnież życie wiodącymi, przebywał. — Razu pewnego mieli oni widzenie, w którém okazał się na niebie cudowny obłok, mający kształt postaci kobiecéj, i który rozpadając się w deszcz rzęsisty, użyźnił kraj cały, po suszy półczwarta roku trwającéj. Święty Eliasz i jego uczniowie poznali w tym cudownym obłoku, obraz i przepowiednię Przenajświętszéj Maryi, jako Matki przyszłego Zbawiciela świata, i oczekując Go z gorącą wiarą, już wtedy cześć oddawali Téj błogosławionéj Niewieście, z któréj się On miał narodzić. Po odejściu z téj ziemi Eliasza, który na wozie ognistym uniesiony był do nieba, (a obdarzony został takim przywilejem za to właśnie, że pierwszy z ludzi oddał cześć przyszłéj Matce Boga), uczniowie jego połączeni w Zgromadzenie, jak teraz Zakonnicy, przetrwali aż do czasów przyjścia Chrystusa Pana. Wtedy... Chrzest Święty przyjęli. A że wierni byli podaniu, jakie się pomiędzy niemi przechowywało, o czci szczególnéj Matki Zbawiciela, więc jak tylko Chrześcianami zostali, starali się zbliżyć do Przenajświętszéj Panny, mieć pociechę poznania Jéj, i oddania czci najgłębszéj. Jakoż, nietylko dostąpili tego szczęścia, ale jak niesie podanie, Matka Boża widząc w nich swoich najdawniejszych sług i czcicieli, z wielką ich łaskawością przyjęła, i do szczególnéj nawet z sobą, a świętéj poufałości przypuszczała, jak się o tém wyrażają Lekcye Brewiarza.... Wróciwszy do swojéj puszczy na górę Karmelu, pierwsi tam wystawili kaplicę albo kościołek na cześć Przenajświętszéj Panny Maryi... gdy zaś z ubiegiem czasów... zaczęły zakładać się zakony zatwierdzone przez Kościół, pustelnicy z góry Karmelu, uzyskali także zatwierdzenie jako Zakon, i nazwani zostali Karme-

litami". **Żywoty Świętych Pańskich** przez Ojca Prokopa Kapucyna — Warszawa — u M. Orgelbranda — 1874 — Str. 590.

Porwany wichrem.

Str. 173 i następne.

Legenda o parobku, który na zaklęcie czarownika, został porwany przez wicher, opowiadana z różnemi odmianami, krąży szeroko pomiędzy naszym ludem. Patrz Klechdy K. Wł. Wójcickiego — Tom I — str. 94.



SPIS PRZEDMIOTÓW
ZAWARTYCH W XIĘDZE PIERWSZÉJ.